

ISSN 1231-8825



ŻYCIE

UNIWERSYTECKIE

nr 4 (308) kwiecień 2019

JUBILEUSZ

Książka kucharska
jakiej nie było s.24

EPICUR

UAM w drodze
do konsorcjum s.2



uniwersyteckie.pl

z pasją o ŻYCIU 

UZALEŻNIONA OD DZIAŁANIA

ANNA RUTZ,

PEŁNOMOCNICZKA REKTORA UAM
DS. OSÓB Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI

s. 16

UNIwersytet im. Adama Mickiewicza W DRODZE DO SUKCESU

Idea utworzenia uniwersytetów europejskich rodziła się podczas wspólnych posiedzeń konferencji rektorów uczelni francuskich i niemieckich już co najmniej kilka lat wcześniej, zanim prezydent Francji

Emanuel Macron ogłosił ją 26 września 2017.

Wygłoszonym na paryskiej Sorbonie przemówieniu wezwał do zawiązania do 2024 dwudziestu federacji tworzących „uniwersytety europejskie”. Apel prezydenta Macrona został zaaprobowany 17 listopada 2017 podczas spotkania przywódców państw Unii Europejskiej, a następnie 14 grudnia 2017 przez Komisję Europejską. Przyjęte wówczas założenia fazy pilotażowej skupiały się wokół utworzenia konsorcjów uniwersytetów, których głównym zadaniem ma być wypracowanie długofalowych instytucjonalnych, organizacyjnych, prawnych rozwiązań, które następnie będą mogły być zaproponowane innym federacjom jako modelowe, prowadzące do zawiązania kolejnych

„uniwersytetów europejskich”. W początkach 2018 uruchomiony został projekt „European Universities Initiatives”, a procedura konkursowa nawiązywała do zasad działania European Research Council (ERC). Komisja Europejska postanowiła, że realizacja projektu w fazie pilotażowej może rozpocząć się najwcześniej we wrześniu 2019 r., zaś pełne finansowanie projektów edukacyjnych i badawczych może rozpocząć się we wrześniu 2021 po przyjęciu nowego budżetu Unii Europejskiej.

Wiele uczelni wykorzystało już istniejące powiązania, także w ramach programu ERASMUS Plus, by utworzyć nowe konsorcja. Inne uniwersytety zdecydowały się rozszerzyć już funkcjonujące konsorcja o kolejne uczelnie albo wykorzystać zdobyte doświadczenia, by utworzyć nowe federacje.

Jeszcze w 1989 uniwersytety w Bazylei, Freiburgu, Karlsruhe, Strasburgu i Muhlouse zawiązały porozumienie, tworząc federację nadreńskich uczelni znaną jako EUCOR. W 2015 uzyskała ona niezależną osobowość prawną w ramach Unii Europejskiej jako European Grouping of Territorial Cooperation (EGTC), inicjując od 1 stycznia 2016 „European Campus”, będący formą instytucjonalnej współpracy transgranicznej i ściślejszej integracji uczelni. By wzmocnić instytucjonalnie i prawnie działające już porozumienie pięciu nadreńskich uczelni, premier rządu Badenii-Wirtembergii Winfried Kretschmann i przedstawiciele władz francuskich: Nathalie Loiseau, Jean Rittner oraz Sophie Béjean podpisali 12 kwietnia 2018 deklarację potwierdzającą ten kierunek działań, gwarantując jednocześnie fundusze na realizację nowego projektu zawiązania „uniwersytetu europejskiego”.

Po długiej i wnikliwej analizie prof. Andrzej Lesicki, rektor UAM, podjął decyzję o przystąpieniu do tworzącego się konsorcjum, w skład którego weszły oprócz UAM uczelnie z Strasburga, Freiburga, Amsterdamu, Karlsruhe, Wiednia, Tesalonik i Mulhouse. W ostatnim dniu lutego 2019 został złożony wniosek grantowy, przygotowywany intensywnie w ciągu kilku poprzedzających



Przedstawiciele ośmiu uniwersytetów federacji EPICUR podczas spotkania grupy roboczej w Strasburgu w styczniu 2019 r.

miesięcy, a samo konsorcjum przyjęło nazwę EPICUR (European Partnership for an Innovative Campus Unifying Regions).

Liderem konsorcjum formalnie pozostaje uniwersytet w Strasburgu. Jego początki związane są z niemiecką uczelnią, założoną w 1538 roku. W latach 70-tych XX w. francuski uniwersytet został podzielony na trzy uczelnie (nazwane na cześć wielkich uczonych: Louisa Pasteura, Marca Blocha oraz Roberta Schumana). Dzięki ponownemu połączeniu tych trzech uczelni 1 stycznia 2009 powstał Université de Strasbourg (Unistra). Uczelnie oferuje naukę dla ponad 51 tys. studentów, związanych z 35 wydziałami i 78 innymi jednostkami badawczymi. Wśród wykładowców tegoż uniwersytetu odnaleźć można obecnie pięciu laureatów Nagrody Nobla, a na przestrzeni lat pracowało tam w sumie 19 noblistów.

Uniwersytet we Freiburgu (Albert-Ludwigs-Universität) założony został w 1457, kiedy miasto kontrolowała austriacka dynastia Habsburgów. Obecnie studiuje na nim ponad 25 tys. studentów. Jest to jedna z najlepszych uczelni niemieckich, łącząca tradycje studiów humanistycznych, społecznych, nauk ścisłych i medycyny, podzielona na 11 wydziałów i kilka centrów badawczych. Studenci spoza Niemiec stanowią około 15 proc. całej społeczności akademickiej.

Uniwersytet w Amsterdamie (Universiteit van Amsterdam) został założony w 1632. W różnych rankingach plasuje się wśród 20 najlepszych uniwersytetów europejskich. Obecnie studiuje tam ponad 30 tys. studentów oraz ponad 3 tys. doktorantów, którzy mogą wybierać zajęcia na siedmiu fakultetach.

Trzy wspomniane wyżej uczelnie należą do prestiżowej LERU (League of European Research Universities). Oprócz nich do konsorcjum należy jeszcze pięć innych uczelni, w tym UAM.

Karlsruher Institut für Technologie (KIT) jest niemiecką uczelnią badawczą, powstałą w 2009 r. z połączenia Uniwersytetu w Karlsruhe, działającego od 1825, z Forschungszentrum Karlsruhe, prowadzącym badania nad technologiami atomowymi. Obec-

nie KIT jest jedną z najważniejszych w skali Niemiec i Unii Europejskiej uczelni w zakresie inżynierii oraz nauk ścisłych. W 2018 z KIT związanych było sześciu laureatów Nagrody Nobla. We wszystkich placówkach naukowo-badawczych KIT zatrudnionych jest ponad 9 tys. osób, które kształcą ponad 25 tys. studentów.

Inną uczelnią, skupioną na badaniach przyrodniczych, jest wiedeński Universität für Bodenkultur, powstały w 1872 r. Obecnie podzielony na 15 wydziałów oferuje studia dla blisko 13 tys. studentów z ponad 100 krajów.

Uniwersytet Arystotelesa w Tesalonikach (Αριστοτέλειο Πανεπιστήμιο Θεσσαλονίκης) powstał w 1925 r. Dziś jest jednym z najważniejszych centrów badawczych w Europie Południowo-Wschodniej. Na dziesięciu wydziałach studiuje obecnie ponad 74 tys. studentów oraz 4 tys. doktorantów.

Najmłodszym z całego konsorcjum jest Uniwersytet Górnej Alzacji (Université de Haute-Alsace), założony w 1975 r., który prowadzi działalność dydaktyczną na czterech wydziałach, w dwóch instytutach badawczych, dwóch szkołach inżynierskich i 14 specjalistycznych laboratoriach dla 8,5 tys. studentów. Z racji swego położenia geograficznego uczelnia ta skupia się na badaniach transgranicznych (francusko-niemiecko-szwajcarskich) oraz interdyscyplinarnych.

Każda ze zwycięskich 12 federacji, która chce utworzyć „uniwersytet europejski”, otrzyma grant w wysokości 5 mln euro. Kwota ta przewidziana jest na wypracowanie modelu infrastruktury nowej uczelni oraz opracowanie wzorcowych rozwiązań prawno-organizacyjnych. Doświadczenia różnych instytucji europejskich z realizacją dużych grantów badawczych wskazują jednoznacznie, że jednym z głównych problemów w ich pełnym wykorzystaniu pozostają trudności infrastrukturalne. Stąd decyzja, aby najpierw odpowiednio przygotować i wyposażać „uniwersytet europejski”, by mógł następnie skutecznie, uwzględniając wspomniane wyzwania, realizować duże granty badawcze, obejmujące cztery wskazane już dziedziny wiedzy: *quantum science*, *precision medicine*, *European identity* oraz *sustainability*. De facto EPICUR walczy dziś o możliwość zdobycia w przyszłości grantów przewidzianych tylko dla uniwersytetów europejskich.

Kształt wniosku grantowego wynikał bezpośrednio z konieczności rozwiązania wielu zagadnień praktycznych, które po raz pierwszy stanęły przed każdą z aplikujących federacji. W przypadku konsorcjum EPICUR należało określić skuteczne metody pracy, pozwalające na zarządzanie instytucjami, które łącznie zapewniają edukację dla prawie 280 tys. studentów. Wszystkie uczelnie europejskie muszą odwoływać się do dyrektyw różnych instytucji europejskich, ale równocześnie respektować prawodawstwo krajowe. Dotyczy to, m.in., kwestii wydawania wspólnych dyplomów czy prowadzenia wspólnych programów studiów. Osiem uniwersytetów jest zróżnicowanych pod względem struktury, specyfiki prowadzonych badań i oferowanych programów studiów, dlatego też pytanie o wypracowanie skutecznych i możliwe najpełniejszych form współpracy w dziedzinie edukacji pozostaje jednym z największych wyzwań. Oprócz zagadnień długoterminowych, jak powiązanie programów studiów, uczelnie federacji będą musiały rozwiązać wiele problemów praktycznych, jak np. ujednolicenie kalendarza akademickiego, by rozpoczęcie i zakończenie semestru następowały mniej więcej w tym samym czasie, czy określenie procesu podejmowania decyzji na poziomie federacji i implementowania tych decyzji na poziomie poszczególnych uniwersytetów z zachowaniem autonomii uczelni.

Do prawnych i instytucjonalnych ograniczeń dochodzą jeszcze inne. Najbardziej zróżnicowane pod względem etnicznym są uczelnie w Amsterdamie i Strasburgu. Studenci w Amsterdamie

Dokończenie na str. 4 ►



Fot. Adrian Wykrota

WYDARZENIA

- 2 | Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w drodze do sukcesu
- 4 | Doktoranci pytali, rektorzy odpowiadali
- 5 | Język i demokracja
- 6 | Nie ma młodzieży, są „młodzieże”
- 6 | Kapsuła Czasu. Najpierw zgłoszenia, potem głosowanie
- 7 | XIX-wieczny Poznań nie do poznania
- 7 | Nie ma zgody na takie działania

NAUKA

- 8 | Między ciszą a ciszą
Śluch to jeden z pięciu zmysłów, który umożliwia nam kontakt ze środowiskiem. To właśnie on aktywny jest przez całą dobę, nawet wtedy, gdy śpimy
- 10 | Awangardowe social media
O lajkach, share'ach i followersach sprzed stu lat z dr. inż. arch. Michałem Wenderskim z Wydziału Anglistyki, rozmawia Jagoda Haloszka
- 11 | Pięć teleskopów UAM stanie w Parku Ciemnego Nieba
- 12 | Nasz „Botanik” jest cyberparkiem
- 13 | W chemii nigdy nic nie wiadomo
Dawid Marcinkowski, student V roku chemii, bada tajemnicze nanomagnetyki molekularne, na co pozyskał „Diamantowy Grant”
- 14 | Czyste kąpieliska dzięki UAM
Trzech naukowców z Katedry Turystyki i Rekreacji WNGiG UAM wymyśliło i opatentowało nowatorski sposób oczyszczania wody

LUDZIE UAM

- 16 | Uzależniona od działania
Z Anną Rutz, pełnomocniczką rektora UAM ds. osób z niepełnosprawnościami, rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.
- 18 | Krótka historia jednego albumu
Pretekstem do napisania tego tekstu były 2 złote. Tyle kosztował album, który znalazłem na pchlim targu. W tableau kadra UAM sprzed 60 lat i senator Jadwiga Rotnicka.
- 20 | Szansa za zakrętem?
Z Beatą Tadiłą rozmawia Aleksandra Polewska

100 LAT UNIWERSYTETU

- 22 | Żegnała go cała przyroda polska

- 24 | Akademickie smaki
Książka kucharska jakiej nie było

- 27 | Bal na sto par... a może i więcej

KULTURA

- 26 | Aula koncertowa

Dokończenie ze str. 3 ►

używają na co dzień ponad stu rodzimych języków oprócz holenderskiego i angielskiego jako podstawowych języków wykładowych. Studenci w Strasburgu wywodzą się z ponad 150 narodowości, tworząc łącznie ok. 20 proc. wszystkich uczących się, choć język francuski pozostaje dla wielu podstawowym środkiem komunikacji. Jeśli do tego „wymieszania języków”, będącego także następstwem procesów migracyjnych lub globalizacyjnych, dołączymy języki używane przez studentów uniwersytetu w Tesalonikach (z obszaru Bałkanów i Morza Czarne-go), czy słowiańskie języki studentów UAM (polski i ukraiński), to oczywistym wyzwaniem staje się wypracowanie wspólnej polityki językowej, tak na poziomie dydaktycznym, jak i administracyjnym, by kwestia językowa łączyła, a nie dzieliła społeczność akademicką.

Uniwersytety funkcjonują w przestrzeni miejskiej lub podmiejskiej, ale prawie zawsze w niezwykle zróżnicowanej infrastrukturze lokalowej, dostosowanej do potrzeb większych i mniejszych jednostek. Tylko w centrum miasta uniwersytet we Freiburgu posiada kilkadziesiąt budynków, podobnie uniwersytet w Strasbur-

gu. Uniwersytet Górnej Alzacji ma dwa nowoczesne campusy w Mulhouse i Colmar. Połowa wydziałów UAM znajduje się na nowoczesnym kampusie na Morasku poza centrum miasta. KIT zlokalizowany jest w kilku kampusach miejskich (Nord, Ost, Süd), posiadając także centra badawcze w innych miastach: w Dreźnie, Ulm i Garmisch. W nieco innej sytuacji jest uniwersytet w Tesalonikach, który ma w centrum miasta rozległy campus, obejmujący blisko 25 ha gruntów. Jak zatem wskazać wspólną przestrzeń (rzeźwistą i wirtualną), gdzie mogliby spotkać się pracownicy i studenci ośmiu uczelni?

Inicjatywa prezydenta Macrona spotkała się z wielkim odzewem wśród istniejących europejskich uczelni. Rywalizacja jest zatem silna, a lista wyzwań długa. Jednak wysiłek organizacyjny UAM przy wspólnym przygotowaniu wniosku grantowego przez osiem uniwersytetów był ze wszech miar uzasadniony, albowiem w przypadku uzyskania grantu pilotażowego na utworzenie „uniwersytetu europejskiego”, oprócz prestiżu, UAM będzie mógł rozpocząć drugie stulecie swego istnienia jako prawdziwie europejska uczelnia.

Prof. Rafał Witkowski

DOKTORANCI PYTALI, REKTORZY ODPOWIADALI

Szkoła doktorska oraz zasady jej współistnienia z odchodzącym w przeszłość systemem kształcenia doktorantów były tematem dyskusji na otwartym posiedzeniu Sejmiku Doktorantów.



FOT. EWA KONARZEWSKA-MICHALAK

Rektor UAM prof. Andrzej Lesicki, prorektorzy: prof. Beata Mikołajczyk i prof. Ryszard Naskręcki odpowiadali na pytania, rozwiewali wątpliwości. Doktoranci dopytywali m.in. o liczbę ich reprezentantów w radach naukowych, o ile wzrosną stypendia i warunki rekrutacji.

– W nowej wersji statutu jest już odpowiedź na niektóre z pańskich pytań. Pytaliście na przykład, dlaczego studenci wraz z doktorantami stanowią zaledwie 10 procent poszerzonej rady naukowej dyscypliny. W nowym statucie jest napisane, że stanowią 20 procent. Także w radzie naukowej szkoły doktorskiej będzie reprezentant doktorantów – jest to wyjście naprzeciw waszym oczekiwaniom – powiedział prof. Lesicki.

Jeszcze nie wiadomo o ile wzrosną stypendia, bo nie jest znana kwota subwencji, jaką dostanie uniwersytet. Według ustawy 2.0

każda osoba przyjęta do szkoły doktorskiej otrzyma stypendium i to wyższe od świadczeń udzielanych w dotychczasowym systemie. – Stypendia udzielane w przyszłości będą znacząco wyższe od udzielanych aktualnie. Będę dążył do tego, żeby ta różnica była jak najmniejsza, a stypendia były na porównywalnym poziomie – zapewnił rektor.

Oprócz statutu kluczowym dokumentem dla organizacji kształcenia doktorantów będzie regulamin szkoły doktorskiej. – W regulaminie chcemy zaimplementować pewne przepisy przejściowe, które będą kodyfikować sposób funkcjonowania szkoły doktorskiej oraz studiów doktoranckich. To będzie gwarancja, którą państwo dostaniecie. Nie biłbym się o to, by literalnie wszystko zapisać w statucie. Najważniejsze jest, by w sposób jednoznaczny wypracować reguły współistnienia tych dwóch systemów – wyjaśnił prof. Naskręcki.

Prof. Beata Mikołajczyk odpowiadała na pytania dotyczące m.in. programu kształcenia. – Chcę zaproponować senatowi, radzie szkoły doktorskiej i państwu ramowy program kształcenia dla doktorantów wszystkich sekcji, dla których wskażemy przedmioty obowiązkowe np. z metodologii badań w odpowiedniej dyscyplinie. Zaproponowalibyśmy również szeroki pakiet zajęć fakultatywnych. Jednym z nich będzie kształcenie w zakresie dydaktyki.

Prof. Mikołajczyk zachęcała też doktorantów do udziału w NKN Forum, ogólnopolskiej konferencji dotyczącej szkół doktorskich, która odbędzie się 20 marca w Toruniu.

Prof. Naskręcki był pełen uznania dla zaangażowania Samorządu Doktorantów w proces tworzenia nowej struktury kształcenia. – To jest naprawdę imponujące, gdziekolwiek w Polsce jesteśmy, mówimy o tym głośno. Ostatnio mówiliśmy ministrowi Gowinowi, że są w kraju środowiska akademickie, które w ramach patrzenia wspólnotowego próbują zrobić coś, co będzie lepsze niż było dotychczas.

Ewa Konarzevska-Michalak

JĘZYK I DEMOKRACJA

Po raz trzeci Poznań był gospodarzem debaty zorganizowanej z okazji Międzynarodowego Dnia Języka Ojczystego z udziałem znanych naukowców. Wydarzenie przyciągnęło do CK Zamek tłumy mieszkańców.

Debata językowa, po raz kolejny zorganizowana przez Radę Języka Polskiego, prezydenta Poznania oraz CK Zamek, rozpoczęła się w samo południe. Już kwadrans przed rozpoczęciem spotkania zabrakło miejsc siedzących. Publiczność wiedziała, że może liczyć na inteligentną i żywą

dyskusję w kulturalnej atmosferze. I nie zawiodła się. Do debaty zaproszono znanych naukowców i publicystów, którzy tym razem rozmawiali o języku i demokracji. Często odnosili się oni do pojęcia języka nienawiści pojawiającego się w mediach i polityce oraz do kwestii odpowiedzialności za słowo.



Prof. Jerzy Bralczyk:

Język i demokracja łączą się w szczególny sposób. Nie są to pojęcia z tej samej półki, język jest dla nas konieczny, demokracja niekonieczna, językiem musimy się porozumiewać, do demokracji raczej dążymy. Ale ostatnio język staje się jednym z podstawowych problemów. Dyskusja publiczna, zwłaszcza w tym aspekcie, w którym skarżymy się na to, że nie potrafimy być razem, bardzo często operuje pojęciem języka. Ostatnio mniej się mówi o manipulacji, a trochę bardziej o czymś znacznie gorszym – o nienawiści, przemocy, brutalności.



Ks. prof. Wiesław Przyczyna:

Gdyby można było wybierać słowo roku w Kościele to synodalność zajęłoby pierwsze miejsce. Co ona oznacza? Papież tłumaczy: podążanie razem duchownych i świeckich. Nie ma już podziału na wykwalifikowanych wierzących i odbiorców ich nauk. Proces synodalności wyraźnie się ujawnił, kiedy papież wprowadził do dokumentu końcowego propozycję, by administratorami parafii były kobiety. Moi koledzy zaprotestowali, nie wiem dlaczego.



Dr hab. Katarzyna Kłosińska:

Niszczące dla demokracji jest używanie słów w sposób dowolny, zupełnie nie poparty semantyką np. słyszymy o ideologii gender, propagowaniu homoseksualizmu. Nie da się propagować tego, że ktoś ma określoną orientację seksualną. Gender jest nurtem w nauce, nie ma nic wspólnego z ideologią. W tych wyrażeniach biorą udział słowa, które znamy i one zaczynają znaczyć coś innego. Ludzie wówczas mają wrażenie, że świat jest opisywany, a tak naprawdę jest tworzony. Tworzona jest alternatywna rzeczywistość.



Prof. Andrzej Blikle:

Sukces grupy ludzi wykonujących wspólną pracę zależy od tego, jak potrafią się komunikować. To jest klucz. Nie oznacza to, że musimy się ze wszystkimi zgadzać. W Polsce panuje błędne przekonanie, że nie można wyeliminować językowej agresji, bo nie jest tak, że wszyscy ze wszystkimi zawsze się zgodzą. Tymczasem nauka dobrej komunikacji powinna polegać na porozumiewaniu się, które nie narusza niczych wartości również w sytuacji, kiedy się nie zgadzamy.



Prof. Przemysław Czapliński:

Język ze swojej istoty nie jest demokratyczny, ponieważ istnieją w nim reguły. Można z nim bardzo wiele zrobić, ale na szczęście nie da się go jeszcze pojąć. Każda próba demokratyzacji języka, np. stworzenia reguł, które by pozwalały, w ramach głosowania, zażyć sobie bardzo systemowej zmiany, oznaczałaby osiągnięcie skutku odwrotnego do zamierzonego. Język stałby się współpracownikiem reżimu, ale nie demokracji. Język potrafi kolaborować z każdym reżimem – totalitarnym, faszystowskim, klerykalnym.



Jacek Żakowski:

Mam wrażenie, że język demokratyczny jest przede wszystkim niegramatyczny i niepoprawny. Jest tylko komunikatywny – wolny. To dla mnie rzecz oczywista, a dlaczego? Ponieważ tylko wtedy demokracja może dopuścić większość społeczeństwa do wypowiedzi. Kto umie mówić dobrze po polsku tak, żeby Rada Języka Polskiego nie przyłapała go na błędzie? Demokracja wymaga akceptacji słabości, która jest udziałem większości, także słabości językowej.

Notowała: Ewa Konarzewska Michalak

NIE MA MŁODZIEŻY, SĄ „MŁODZIEŻE”

Tak kolokwialnie podsumował XIV Debatę Akademicką (11.03), prof. Witold Wrzesień. Poświęcona była właśnie młodzieży: jej zaangażowaniu politycznemu, a raczej jej „braku na barykadach”. I jak zwykle, gdy dyskusja jest merytoryczna, okazało się, że obraz nie jest czarno-biały, więc nie ma „jednej młodzieży”.

Udział w Debatie wzięli ze strony UAM prof. Eva Zamojska z WSE i prof. Witold Wrzesień z WNS, a ze strony UEP prof. Jan Szambelańczyk i dr Wiktoria Domagała, oboje z Wydziału Ekonomii.

Zacznijmy od liczb, które się pojawiły, bo one kreślą obraz niepokojący: w ostatnich wyborach 2/3 20-latków nie uczestniczyło; 80 proc. milenialsów słabo interesuje się polityką, 43 proc. nie ma sprecyzowanych poglądów politycznych, a zarazem 53 proc. uważa, że polska demokracja jest w złym stanie. To do rozważenia podała dr Domagała. Prof. Wrzesień podał przydatne w dyskusji i niuansowaniu problemu definicje: młodzież to osoby w wieku 15-30 lat, pokolenie to osoby od 19 do 26 lat, a generacja to poszczególne roczniki. On także jest twórcą pojęcia „pokolenie pochłaniaczy bodźców” i sugeruje, że właśnie ten nadmiar bodźców generuje pewną apatię polityczną młodych – po prostu mózg się broni przed nadmiarem wrażeń.

Gdy była mowa o powszechnym skrócie młodych w stronę ideologii konserwatywno-nacjonalistycznej, prof. Zamojska podzieliła się ciekawymi wynikami badań, z których wynika, że tendencje takie mają chłopcy, natomiast w znikomym stopniu dziewczęta – im, wyemancypowanym, nie odpowiada podporządkowany model kobiety w tej ideologii. Choć marsze nacjonalistów i ich wybryki robią wrażenie, przy bliższym badaniu okazuje się, że spośród Europejczyków w wieku 15-30 lat zaledwie 7 proc. brało udział w takich działaniach, a to jednak margines. Zarówno prof. Wrzesień jak i Szambelańczyk sugerowali także, że młodzież jest wmanipulowywa-

na przez polityków w takie skrajności. Zresztą nie tylko młodzież, gdyż relacje rynkowe przenikają do polityki, gdzie przy pomocy zręcznych marketingowców wyborcy są „kupowani”.

Również wszyscy byli zgodni co do tego, że dzisiejsza młodzież żyje w zupełnie innej rzeczywistości niż pokolenie jej rodziców, gdy weźmie się pod uwagę rewolucję technologiczną. Pojawia się zatem pytanie, czy nasza – starszego pokolenia – wizja, czym młodość być powinna nie jest oderwana od rzeczywistości? Gdybyśmy wprowadzili aplikację wyborczą, młodzi na pewno wzięliby udział w wyborach – zilustrował to przykładem prof. Wrzesień. Zostało to podniesione w dyskusji przez Piotra Banaszka z koła naukowego ekonomistów „Pryzmat”, (stawiło się tłumnie i aktywnie na debacie), który zapytywał: czy polityka jest jedyną miarą udziału w życiu społecznym? A co z aktywnością w mediach społecznościowych, z flashmobami, z crowdfundingiem, z memami, z listami protestacyjnymi na różne tematy? Ja zaglądam na te wasze portale – stwierdził z sarkazmem przedstawiciel starszego pokolenia – wy tylko kontestujecie, a nic nie zmieniacie! A jedyne fora, na których pełno jest młodzieży, to te o psiakach i innych zwierzątkach! Dyskusja momentami była bardzo gorąca: młodzi z „Pryzmatu” bronili się, podając przykłady swojej aktywności i przykład kolegi, który zaangażował się w samorząd, na co usłyszeli, że stał się on w tym samorządzie oportunistą. Zapachniało więc jednak konfliktem pokoleń, jak za dawnych czasów, chociaż w debacie paneliści byli zgodni, że tego właśnie konfliktu dzisiaj nie ma...

Maria Rybicka

Debata Akademicka są wspólnym przedsięwzięciem UAM i UEP. Mają poruszać żywotne problemy współczesności, a zarazem być wzorem dyskusji wyważonej i merytorycznej czyli akademickiej w najlepszym tego słowa znaczeniu.

KAPSUŁA CZASU. NAJPIERW ZGŁOSZENIA, POTEM GŁOSOWANIE

Zaproszenie na okaziciela na uroczystość za 100 lat – to jedna z nagród w konkursie UAM na zawartość Kapsuły Czasu. Ta jubileuszowa instalacja zostanie umieszczona przed Collegium Minus w kulminacyjnym dniu obchodów 100-lecia, 7 maja tego roku.

Do Kapsuły trafią obiekty wybrane przez społeczność akademicką oraz wskazane przez biorących udział w głosowaniu internetowym.

Kapsuła Czasu ma upamiętnić obraz środowiska akademickiego Poznania oraz jego mieszkańców w roku stulecia uniwersytetu poznańskiego. Do tego potrzebne są właśnie przedmioty, które środowisko akademickie oraz uczestnicy konkursu wskażą jako najbardziej znaczące w historii ostatnich 100 lat. Mogą być związane z życiem prywatnym, zawodowym oraz identyfikować wyzwania i marzenia poznaniaków żyjących pod koniec drugiej dekady XXI wieku.

Nośnikiem wybranych danych cyfrowych np. galerii zdjęć, zbiorów muzycznych, przykładów korespondencji i komunikacji zawodowej jak i prywatnej, prób języka i zapisów gwary będzie telefon

komórkowy w dwóch lustrzanych egzemplarzach z kopią bezpieczeństwa w zaszyfrowanej chmurze.

► Zgłoszenia propozycji tego, co może znaleźć się w kapsule przyjmowane będą do 2 kwietnia poprzez stronę: <http://100lat.amu.edu.pl/kapsulaczasu>.

► 10 kwietnia rozpocznie się głosowanie internetowe.

► Ogłoszenie wyników konkursu zaplanowano na 30 kwietnia 2019 r.

Kapsułę Czasu 7 maja przed Collegium Minus złoży do specjalnie przygotowanej instalacji czterech rektorów uczelni współorganizujących obchody jubileuszu 100-lecia uniwersytetu poznańskiego. Projektantem instalacji jest architekt Wojciech Łakiński z biura architektonicznego ASPA & ZAPA. Wykonanie koordynuje firma Bauartcomplex Renowacja Zabytków – Budownictwo Tomasz Pokładecki.

Agnieszka Książkiewicz



XIX-WIECZNY POZNAŃ NIE DO POZNANIA

Kurator wystawy w Bibliotece Uniwersyteckiej, Jakub Skutecki, jest dobrze znany ze swego zamiłowania i pasji do starej fotografii. Dał temu wyraz w trakcie prezentacji zdjęć z XIX-wiecznego Poznania i miast Wielkopolski. Wystawy ze wszech miar interesującej, bowiem fotografie są unikalne pod każdym względem.

Otwierająca wystawę Małgorzata Dąbrowicz, dyrektor Biblioteki, zaznaczyła, że ma ona miejsce w szczególnym czasie, bowiem uświetnia obchody stulecia Uniwersytetu Poznańskiego, a prezentowane na niej zdjęcia to oryginały jakich próżno szukać gdzie indziej. Całość pochodzi ze zbiorów specjalnych biblioteki.

Jakub Skutecki przypomniał, że ostatnia tego typu ekspozycja, prezentująca oryginały ze zbiorów ikonograficznych, miała miejsce w 1995 roku i dotyczyła pocztówek poznańskich z przełomu wieku. Według niego, idea obecnej prezentacji to nawiązanie do roku 1929, gdy w ramach PeWuKi odbyła się wystawa towarzysząca ze zbiorów Muzeum Wielkopolskiego. – Dla nas była to swego rodzaju prowokacja – mówił kurator – bowiem w katalogu tamtejszej wystawy nie ma ani jednego zdjęcia ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej.

Jak to się zmieniło, warto zobaczyć samemu, bowiem zaprezentowano 250 oryginalnych zdjęć, stanowiących tylko część obecnych zbiorów BU. Zaskoczeń jest bardzo dużo, a Poznań jest po prostu nie do poznania.

Warto wspomnieć przy okazji, że historia poznańskiej fotografii zaczęła się w 1841 roku. W domach nie mówiono o niczym innym, jak o „słonecznym rysunku na blasze srebrem pociągającym” wystawionym w księgarni Żupańskiego na Starym Rynku. Zaś pierwszą fotografię na papierze przywiózł do Poznania Karol Libelt. Poznaniacy fotografowali przede wszystkim siebie.

Dopiero wiele lat później, gdy fotografia się udoskonaliła, zapa-



FOT. 2X ARCHIWUM BIBLIOTEKI UNIWERSYTECKIEJ



FOT. ADRIAN WYKROTA

nowała moda na fotografowanie miasta. Zdjęcia z tego okresu, co widać na wystawie, są dość specyficzne. Prezentują miasto o świącie, puste zaułki ulic, kamienice, obiekty historyczne. Powód? Czas naświetlania, który wymagał statycznego obrazu. W 1870 roku Zeuschner wykonał pierwszą panoramę Poznania z prawego brzegu Warty. Jest na wystawie. Podobnie jak fotoreportaż z budowy nowego ratusza, zdjęcia z obozu jenieckiego francuskich żołnierzy na Cytadeli czy stawiania gmachu obecnego Muzeum Narodowego. Są zaskakujące ujęcia z dawnej ulicy Nowej (Paderewskiego) czy Alei Wilhelmskiej (obecnie Al. Marcinkowskiego). Klimat i jakość tych zdjęć są niezwykle. Dzisiejsi fotoreporterzy sami przyznają, że mimo super sprzętu „to se ne wrati”. Ten czas i jego klimat minął. Zostały fotografie. I całe szczęście.

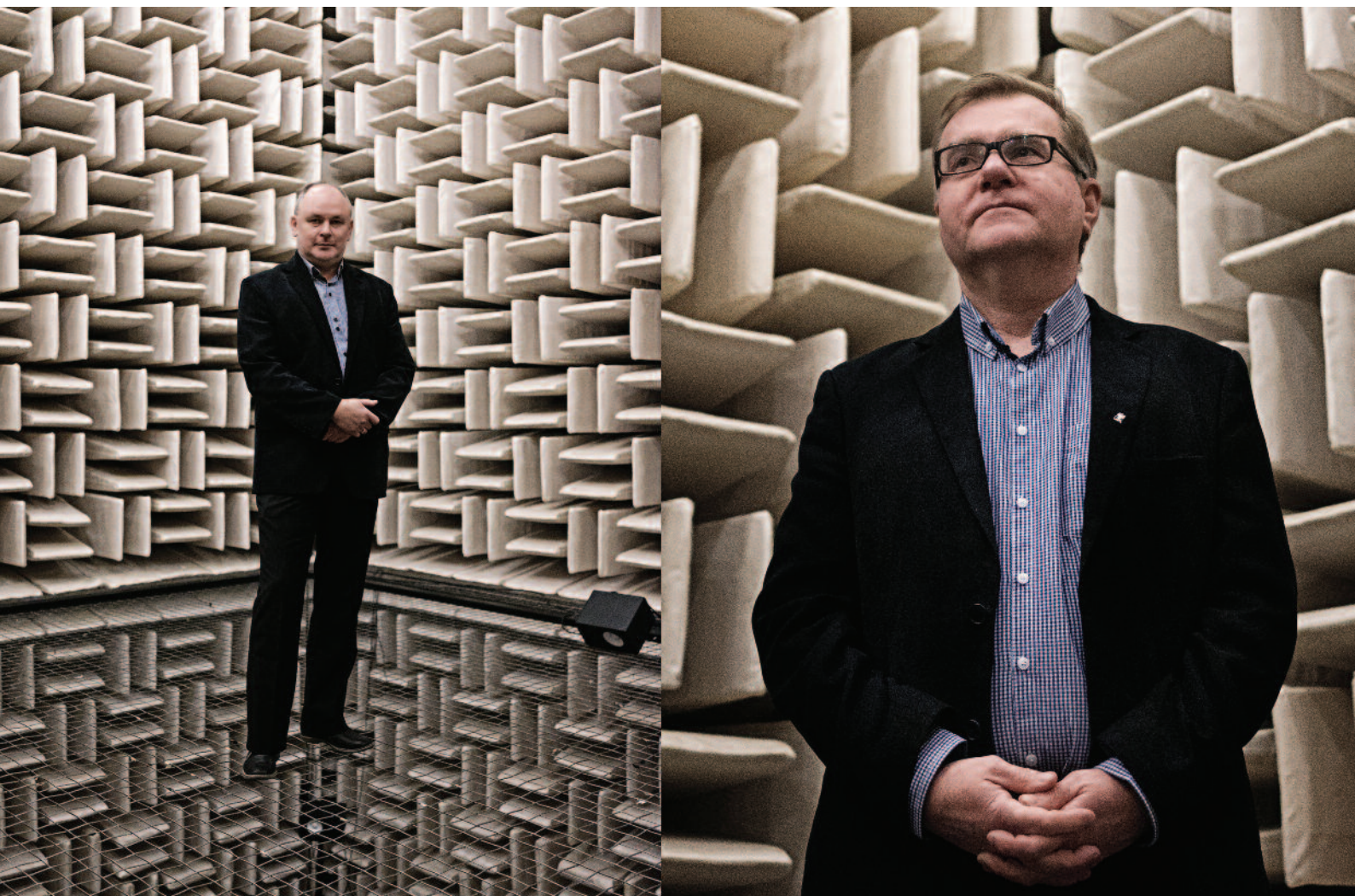
Krzysztof Smura

NIE MA ZGODY NA TAKIE DZIAŁANIA

W ostatnim czasie do skrzynek mailowych władz i pracowników UAM, a także poza uniwersytet, trafił e-mail dotyczący pracowników byłego Instytutu Językoznawstwa na Wydziale Neofilologii UAM. Wielu adresatów poczuło się urażonych i zaniepokojonych zawartymi tam stwierdzeniami, a także groźbami dalszego rozpowszechniania informacji, godzących w dobre imię nie tylko poszczególnych wymienianych z imienia i nazwiska osób, ale także całego wydziału. Zaniepokojeni pracownicy zwrócili się listownie do rektora UAM z prośbą o rozważenie podjęcia kroków organizacyjnych i prawnych wobec anonimowych, na razie, nadawców e-maila.

Rektor UAM prof. Andrzej Lesicki polecił w dniu 23 lutego br. złożenie do Prokuratury Rejonowej Poznań – Stare Miasto w Poznaniu zawiadomienia o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przestępstwa zniesławienia pracowników Wydziału Neofilologii UAM przez nieustalonego sprawcę. W liście do zaniepokojonych pracowników rektor stwierdził z całą stanowczością, że działania takie jak te, których dopuścił się anonimowy autor (lub autorzy) w/w e-maila, nie są akceptowane i każdorazowo spotykać się będą z natychmiastową reakcją i konsekwencjami (w przypadku ujawnienia danych autorów).

Małgorzata Rybczyńska
Rzecznik prasowy



Na zdjęciu dr hab. Andrzej Wicher i dr hab. Roman Gołębiewski

FOT. ADRIAN WYKROTA

MIĘDZY CISZĄ A CISZĄ

Słuch to jeden z pięciu zmysłów, który umożliwia nam kontakt ze środowiskiem. To właśnie on aktywny jest przez całą dobę, nawet wtedy, gdy śpimy. Pozwala nam się komunikować z całym światem.

Jednak czasem pojawia się jego największy wróg – hałas.

W USA i w Europie według najnowszych badań co czwarta osoba ma zaburzenia słuchu. WHO szacuje, że 10 proc. ludzi jest codziennie narażonych na hałas, mogący wpływać na zdrowie. Główny Inspektorat Środowiska zakwalifikował hałas, obok spalin czy śmieci, do zanieczyszczeń środowiska. Coraz trudniej znaleźć miejsce, gdzie ilość bodźców dźwiękowych jest niska. Styl życia współczesnego społeczeństwa zmusza coraz więcej ludzi do codziennego mierzenia się z hałasem. – Jeśli chodzi o kwestię ryzyka uszkodzenia słuchu, to trzeba uwzględnić, w jakim środowisku akustycznym się znajdujemy. Jeśli jest to np. sala audytoryjna z przeznaczeniem dla dobrego, komfortowego rozumienia mowy, to ryzyka uszkodzenia słuchu nie ma. Jeśli natomiast jest to sala koncertowa, w której odbywa się np. koncert rockowy, to musimy się liczyć z tym, że poziom dźwięku będzie bardzo duży i powinniśmy unikać prze-

bywania w bardzo bliskiej odległości od źródeł dźwięku, jakimi są systemy nagłośnieniowe dużej mocy – mówi dr hab. Andrzej Wicher, zastępca dyrektora Instytutu Akustyki na Wydziale Fizyki UAM.

Z hałasu trzeba umieć korzystać

Kiedy dźwięków jest dużo, o dużym natężeniu i długim czasie trwania, mówimy o hałasie. Jest to też każdy niepożądany dźwięk, który może doprowadzić do utraty słuchu, być szkodliwy dla zdrowia lub niebezpieczny w inny sposób. Zaliczenie dźwięku do hałasu jest subiektywne, zależy od wrażliwości osobniczej, odległości od źródła dźwięku i miejsca przebywania – w pomieszczeniu czy na zewnątrz. Nie oznacza to, że wszystkie akustyczne bodźce przeszkadzają nam, czy szkodzą. – Komórki słuchowe generują sygnały stymulujące nasz mózg, dzięki temu słyszymy. W uchu są także inne komórki słu-

chove, które są odpowiedzialne za tzw. selektywność słuchu, ułatwiającą nam słyszenie jednego dźwięku na tle innych. Dzięki temu łatwo nam np. rozumieć mowę nawet wtedy, gdy w tym samym czasie dociera do nas dodatkowy hałas o takim samym poziomie jak głos naszego rozmówcy – dodaje dr hab. Wicher.

Słuch łatwo uszkodzić

Częste i długotrwałe przebywanie w nadmiernym hałasie może prowadzić do czasowego przesunięcia – pogorszenia progu słyszalności. Po pewnym czasie próg ten może powrócić do normy. Kiedy jednak systematycznie i długo przebywamy w miejscach o dużym natężeniu hałasu, może nastąpić efekt trwałe przesunięcia progu słyszalności (trwałe pogorszenie słuchu). – Wyjątkowo niebezpieczne są hałasy o naturze impulsowej, czyli dźwięki o bardzo wysokim natężeniu, które pojawiają się nagle. Takie sygnały mogą prowadzić nawet do mechanicznego uszkodzenia układu słuchowego – podkreśla dr hab. Roman Gołębiowski, dyrektor Instytutu Akustyki.

W wymiarze społecznym hałas wpływa negatywnie m.in. na komunikowanie się. Może powodować również napięcia i kłótnie między ludźmi, zwiększenie liczby wypadków oraz wzrost liczby zachorowań na głuchotę zawodową i chorobę wibracyjną.

Hałas to nie tylko utrata słuchu

Coraz częstszym problemem jest stopniowo postępująca utrata słuchu. Początkowo niezauważalna, z czasem zaczyna coraz bardziej utrudniać codzienne życie. Może przejść w niedosłuch, a nawet w całkowitą głuchotę. Przyczyną może być hałas, który w najgorszym przypadku może spowodować nawet uszkodzenie mechaniczne układu słuchowego. Hałas wpływa nie tylko na układ słuchowy, ale również na całe zdrowie człowieka. – Hałas może prowadzić również do stanów depresyjnych. Może powodować nadpobudliwość. Bardzo niebezpieczne dla człowieka są również drgania, które negatywnie wpływają na ludzki organizm. Zarówno dla hałasu, jak i dla drgań, określa się dopuszczalne wartości. Dla ochrony słuchu ustawy wprowadzają dopuszczalne wartości poziomu hałasu i wibracji. Jeśli zostaną one przekroczone – może nastąpić trwałe uszkodzenie słuchu, a w przypadku wibracji – nawet uszkodzenie organów – mówi dr hab. Roman Gołębiowski.

– Długotrwałe przebywanie w hałasie może powodować wzrost poziomu adrenaliny we krwi. Skutkuje to wzrostem ciśnienia krwi i potencjalnie zwiększa ryzyko chorób układu krążenia. Ryzyko wystąpienia nadciśnienia tętniczego rośnie wraz ze wzrostem poziomu hałasu, choć nie tylko poziom hałasu jest tutaj istotny, ale także jego dokuczliwość, która nawet dla średnich poziomów rzędu 65 dB może wywołać tego rodzaju negatywne skutki dla naszego organizmu. A nadciśnienie tętnicze jest istotnym czynnikiem ryzyka zawału serca i udaru – dodaje dr hab. Andrzej Wicher.

Aby organizm działał prawidłowo, po całym dniu aktywności i mierzenia się z hałasem niezbędny jest czas na regenerację. Najlepszą jej formą jest sen, który wpływa nie tylko na ciało, ale i na umysł. Prawidłowy sen to następujące po sobie cykle fazy snu głębokiego i marzeń sennych. Aby rano obudzić się wypoczętym, powinny one następować w swoim rytmie i bez wybudzania. Niestety, zaburzenia snu dotyczą coraz więcej osób. Niepokojące jest to, że wielu ludzi narażonych jest na hałas nawet w nocy, a na sen wpływają już dźwięki o natężeniu powyżej 30 dB.

„Święty spokój” również szkodzi

Najcichsze miejsce na Ziemi znajduje się w laboratoriach Orfield w USA, co zostało potwierdzone wpisem do Księgi Rekordów Guinnessa z 2004 roku. Instytut Akustyki Wydziału Fizyki UAM również posiada takie miejsce. To komora bezechowa, która absorbuje 99% dźwięków. Jak się okazuje, człowiek nie znosi absolutnej ciszy. Jeśli przebywa w takich warunkach zbyt długo, może to skończyć się m.in. zdenerwowaniem, irytacją i ogólnym obniżeniem nastroju. – W pewnym sensie jest to pomieszczenie w pomieszczeniu. Na ścianach znajdują kliny, których zadaniem jest pochłanianie całej energii akustycznej, która pada na tę powierzchnię. Dzięki komorze możemy badać najcichsze urządzenia, które generują dźwięki, np. dyski twarde. Nie możemy ich zbadać w normalnych warunkach dlatego, że hałas zewnętrzny jest zbyt duży, aby uchwycić delikatny dźwięk generowany przez urządzenie. Dzięki głośnikom zamontowanym w kabinie możemy odtworzyć również warunki rzeczywiste – podkreśla dr hab. Roman Gołębiowski.



*Główny Inspektorat Środowiska
zakwalifikował hałas, obok spalin
czy śmieci, do zanieczyszczeń środowiska*

A co w takim razie ze słynnym powiedzeniem, „A może wszystko rzucić i pojechać w Bieszczady?” – Cisza jest dobrym lekarstwem, ale w warunkach naturalnych. Chcemy przebywać w ciszy, ale nie w takiej jaka jest np. w komorze bezechowej, gdyż warunki w niej panujące daleko odbiegają od naturalnych. To wszystko zależy od określenia parametrów miejsca, w jakim się znajdujemy – dodaje dr hab. Gołębiowski.

Warto badać słuch

Badania profilaktyczne słuchu wykonywane są przede wszystkim podczas badań okresowych, szczególnie, gdy z racji wykonywanego zawodu narażenie na hałas jest duże. Ich celem jest wykrycie wczesnych objawów zmian chorobowych, powstających pod wpływem hałasu, aby nie dopuścić do pogłębiania się niedosłuchu.

Do wstępnych badań słuchu należy wywiad audiologiczny oraz pomiar progów słyszenia i progów dyskomfortu. W przypadku stwierdzenia uszkodzenia słuchu np. w wyniku ekspozycji na duży hałas, należy przeprowadzić dodatkowe specjalistyczne badania (np. audiometrię mowy, audiometrię obiektywną, itp.). Może bowiem zaistnieć potrzeba wsparcia osoby niedosłyszącej aparatem słuchowym.

Batalia z hałasem trwa

W lutym tego roku WHO i Międzynarodowy Związek Telekomunikacyjny zaprezentowały propozycje rozwiązań dla przedsiębiorstw i prywatnych użytkowników sprzętu audio. Wydano zalecenie, według którego odtwarzacze muzyki powinny być wyposażone w oprogramowanie, pozwalające śledzić czas ekspozycji słuchającego na dźwięk – jeżeli ktoś będzie słuchał zbyt długo zbyt głośnej muzyki, pojawi się komunikat, że źle to wpływa na zdrowie słuchającego. Urządzenia powinny również dawać możliwość ograniczania np. przez rodziców głośności słuchania przez dziecko.

Jagoda Hałoszka

AWANGARDOWE SOCIAL MEDIA

FOT. ADRIAN WYKROTA

O lajkach, share'ach i followersach sprzed stu lat z dr. inż. arch. Michałem Wenderskim
z Wydziału Anglistyki, rozmawia Jagoda Haloszka

Obecnie naszą komunikacją rządzą *social media*, które zdają się stopniowo wypierać bezpośrednie kontakty międzyludzkie. Proszę powiedzieć, jak sto lat temu wyglądały relacje pomiędzy awangardą polską a niderlandzką i czy możemy w nich odnaleźć podobieństwa do współczesnych mediów społecznościowych?

Historia kontaktów polskiej i niderlandzkiej awangardy międzywojennej jest naprawdę fascynująca i nierzadko zdumiewa. W swoich badaniach udało mi się zrekonstruować liczne związki i relacje, które w niektórych przypadkach były bardzo intensywne, nawet pomimo tego, że Polaków i Holendrów czy Belgów dzieliło wiele. Przede wszystkim było to związane z barierą językową, odległością geograficzną i nielicznymi więzami kulturowymi, czy historycznymi łączącymi te kraje. Początkowo zatem polsko-niderlandzkie związki miały charakter głównie korespondencyjny – najpierw były to listy, których owocem bardzo często były artykuły, przedruki zdjęć, które awangardowi artyści nieustannie sobie nawzajem przesyłali, a następnie publikowali we własnych czasopiśmie i książkach. W paru przypadkach takie kontakty przerodziły się w osobiste znajomości, a nawet długotrwałe przyjaźnie pomiędzy polskimi i niderlandzkimi artystami. W jednym z haskich archiwów znalazłem np. album z 1937 roku podarowany z okazji urodzin przez Helenę i Szymona Syrkusów holenderskiemu architektowi Cornelisowi van Eesterenowi, na którym widnieją niderlandzkojęzyczne życzenia dla Holendra. Syrkusowie nie znali oczywiście języka niderlandzkiego, musieli zatem w jakiś sposób zdobyć tłumaczenie tekstu, co stanowi namacalny dowód, jak bliskie stosunki łączyły polskich oraz holenderskich modernistów.

Co było powodem tego, że te dwie awangardy były ze sobą aż tak związane?

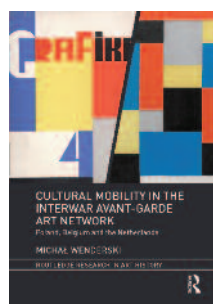
Kazus Polski i Niderlandów nie był oczywiście przypadkiem osobnym, a intensywność relacji pomiędzy polskimi, holenderskimi i belgijskimi awangardzistami nie wyróżniła się zbytnio na tle owej

międzywojennej sieci. Awangardowi artyści znajdowali się bowiem wówczas poza głównym, mainstreamowym światem sztuki i kultury i musiało minąć wiele lat zanim znaleźli swoje miejsce w kanonie historii sztuki. W okresie międzywojnia awangardziści stanowili jeszcze artystyczny margines i to właśnie ta marginalizacja oraz pewien ostracyzm ze strony lokalnych twórców i odbiorców sprawiała, że musieli szukać sojuszników w innych krajach i innych kręgach kulturowych – stanowi to doskonałą analogię do zdobywania dzisiejszych friendsów i followersów.

Jak bardzo ta analogia do współczesnych lajków, share'ów i followersów odpowiada sytuacji sprzed stu lat?

Prywatnie nie jestem wielkim entuzjastą mediów społecznościowych, niemniej w trakcie prac nad swoją książką doszedłem do wniosku, że i w jednym i w drugim przypadku mamy do czynienia z dokładnie tymi samymi mechanizmami, a różnica tkwi tylko w zastosowanym medium. Kiedyś lajkowano, share'owano i followowano na kartach pisanych odręcznie listów i na łamach czasopism, które wymieniano ze sobą w zawrotnym z dzisiejszej perspektywy tempie, nierzadko z dnia na dzień. Analogię do współczesnych share'ów znajdujemy w wielu listach zaczynających się od słów „Drogi Kolego, piszę do Ciebie z polecenia swojego znajomego...”, co w kilku przypadkach dawało efekt kuli śniegowej i stawało się podwaliną długoletnich przyjaźni, np. pomiędzy Janem Brzękowskim a belgijskim poetą i malarzem Michelelem Seuphorem. Na łamach awangardowych czasopism share'owano także prace i teksty, chociażby w postaci regularnego publikowania przeglądów

interesujących wydawnictw i wydarzeń z całej Europy. Odpowiednikiem dzisiejszej listy znajomych były natomiast zestawienia i tabele zawierające tytuły innych awangardowych czasopism, z którymi wydawca danego periodyku identyfikował się i nierzadko prowadził swoisty handel wymienny. Znajomości te z czasem przeradzały się też w bezpośrednie, osobiste relacje. Nie należy bowiem zapominać, że ci kultowi dziś artyści byli wówczas



W 2018 roku nakładem wydawnictwa Routledge ukazała się książka Michała Wenderskiego *Cultural Mobility in the Interwar Avant-Garde Art Network: Poland, Belgium and the Netherlands*, poświęcona historii międzynarodowej sieci awangardowych twórców i ugrupowań z Polski, Belgii i Holandii.

młodymi, otwartymi na świat buntownikami, którzy chętnie podróżowali i zawiązywali nowe przyjaźnie, zwłaszcza z tymi, którzy podzielali ich rewolucyjne poglądy na literaturę, sztukę czy architekturę. Dziś większość tego typu aktywności ma miejsce w Internecie, niemniej mechanizm pozostał taki sam.

Czy zatem istniało wówczas także zjawisko hejtu?

Hejt istnieje pewnie od zarania dziejów, co uwarunkowane jest zmiennością i niestabilnością relacji międzyludzkich. Gdyby w międzywojniu istniały portale społecznościowe, awangardowi artyści z pewnością także usuwaliby się nawzajem ze znajomych, wystawiali sobie negatywne komentarze, bądź dawali tzw. kciuk w dół. Staje się to doskonale widoczne po bliższej analizie wspomnianych już zestawień i tabel zawierających listy polecanych czasopism, czy też publikowanych w nich tekstów. Udało mi się zidentyfikować liczne przypadki usuwania kogoś z takich list znajomych, czy też wzajemnego hejtowania się przez artystów, których ścieżki w pewnym momencie rozeszły się. Doskonałym przykładem może tu być przypadek dwóch holenderskich artystów Theo van Doesburga i J. J. P. Ouda, którzy współtworzyli czasopismo *De Stijl*. Pomimo, że początkowo łączyła ich wspólna wizja nowoczesnej sztuki i architektury, próba realizacji swych pomysłów w realu doprowadziła do poważnego konfliktu pomiędzy artystami. W 1921 roku Holendrzy bez powodzenia próbowali współpracować przy realizacji projektu architektonicz-

nego w Rotterdamie, co poskutkowało całkowitym zerwaniem wzajemnych kontaktów i szeregiem wzajemnych oskarżeń – obaj artyści zaczęli hejtować się na łamach swoich publikacji, a Oud posunął się nawet do tego, że próbował odwiedzić polskiego architekta Szymona Syrkusa od publikacji prac Van Doesburga w warszawskim piśmie *Praesens*. I rzeczywiście, w drugim numerze czasopisma na próżno szukać prac autorstwa tego holenderskiego artysty... Podobny przypadek miał także miejsce na naszej międzywojennej scenie artystycznej, kiedy to polscy awangardowi artyści i architekci wspólnie zaangażowali się w organizację poznańskiej Powszechnej Wystawy Krajowej w 1929 roku, co doprowadziło do długotrwałych podziałów i antagonizmów. Powstałe niesnaski na linii artyści-architekci poskutkowały między innymi tym, że jeden z belgijskich twórców zablokował publikację francuskiego przekładu jednego z polskich manifestów w paryskim piśmie *Cercle et Carré*, czego bezpośrednią przyczyną był hejt wyłany przez polskich artystów (przede wszystkim Władysława Strzebińskiego) na słynnego architekta Le Corbusiera i jego popleczników – tych samych, z którymi malarze pokłócili się wcześniej przy okazji poznańskiej wystawy. Słowem *nihil novi* – media społecznościowe ze swoimi lajkami, share'ami i hejtem to jednak nic nowego, obawiam się tylko, że dla międzywojennych piewców modernizmu i nowoczesności takie postmodernistyczne „wszystko już było” smutne stanowiłoby podsumowanie...

PIĘĆ TELESKOPÓW UAM STANIE W PARKU CIEMNEGO NIEBA

Już w lipcu w Parku Ciemnego Nieba naukowcy naszego uniwersytetu spojrzą w niebo przez pięć nowoczesnych teleskopów. Sierakowski Park Krajobrazowy jest miejscem idealnym do odczytów.

Doktor Krzysztof Kamiński, nadzorujący realizację projektu, wrócił właśnie z Arizony, gdzie wizytował obserwatorium w którym mieści się należący do UAM najlepszy polski teleskop imienia Romana Baranowskiego. Nie była to wizyta kurtuazyjna. Przede wszystkim trzeba było przeprowadzić niezbędne prace konserwacyjne. – Najważniejszy był jednak upgrade urządzenia – mówi dr Kamiński – Jeśli chcemy utrzymać obserwacje na najwyższym światowym poziomie, to jest to konieczne.

– Teleskop Baranowskiego jest obecnie najlepszym polskim teleskopem. Tym bardziej jesteśmy dumni, że urządzenie pracujące w Arizonie jest we własności UAM. Potrzeby jednak rosną. Stąd jakiś czas temu wystąpiliśmy o grant na zakup nowego sprzętu – dodaje prof. Edwin Wnuk – Rzecz zakończyła się pełnym sukcesem. Otrzymaliśmy na ten cel ponad 3 miliony złotych.

– Za pozyskane środki kupiliśmy kolejne pięć teleskopów. Jeden większy i cztery mniejsze. Ten zespół urządzeń nazywam takim naszym klastrem – tłumaczy dr Kamiński – Zespołem doskonale uzupełniających się teleskopów. „Towarzystwo” jest międzynarodowe, bowiem kompletujemy sprzęt w Polsce, Stanach Zjednoczonych, Irlandii, a np. tuby sprowadzamy z Ukrainy.

Obecnie trwają starania o pozwolenie na budowę kompleksu obserwacyjnego. Całość zostanie zainstalowana w odległości 70 km od Poznania. – To już Park Ciemnego Nieba, gdzie światła z Poznania nie docierają – mówi dr Kamiński – Nie jest to jednak miejsce docelowe, bo z czasem będziemy chcieli się przenieść. Gdzie? Tego jeszcze nie wiemy. Wiele zależy od decy-



Teleskop Romana Baranowskiego w Arizonie

zji zewnętrznych, ale teleskopy są nasze i to UAM będzie miał decydujące zdanie. – Dobrym rozwiązaniem byłaby Azja. Mając jeszcze teleskop w Arizonie moglibyśmy prowadzić 24-godzinne obserwacje – dodaje dr Kamiński.

– Z naszych symulacji wynika, że świetne byłyby północne Indie – mówi prof. Wnuk – To miejsce dobrze nam znane. Jest tam teleskop oparty na płynnym, obracającym lustrze o średnicy 4,5 metra. Miejsce jest więc bezpieczne.

Krzysztof Smura

NASZ „BOTANIK” JEST CYBERPARKIEM

Od technologii nie da się uciec. Otacza nas wszędzie m.in. w pracy i w domu. W wyniku coraz częstszego wykorzystania narzędzi multimedialnych, nasze mózgi zaczynają powoli słabnąć. Wtedy z pomocą przychodzą cyberparki.



FOT. ADRIAN WYKROTA

Niedawne badania wykazały, że wystarczy korzystać zaledwie przez trzy miesiące ze smartfonów, czy innych urządzeń mobilnych, aby w naszych mózgach zaszły bardzo znaczące, negatywne zmiany neuroplastyczne. Osoby potrafiące wykonywać bardzo dużo zadań jednocześnie i wykorzystywać przy tym wiele urządzeń, np. smartfony, komputery, odtwarzacze mp3, mają w pewnym obszarach mózgu mniej komórek nerwowych, w konsekwencji czego wolniej przetwarzają informacje.

Z technologią za pan brat

Technologie można kochać, albo nienawidzić. Jak podkreśla dr hab. Michał Klichowski z Wydziału Studiów Edukacyjnych, wyniki badań na temat wpływu urządzeń mobilnych na funkcjonowanie mózgu są kontrowersyjne. – Są różne koncepcje. Jest podejście, w którym zakłada się, że nowe technologie doprowadzają do powstania supermózgu, czy superinteligencji. Na drugim krańcu kontinuum są natomiast tezy, że nowe technologie prowadzą do degeneracji mózgu i do pewnego typu „ogłupienia”. Wyniki najnowszych eksperymentów potwierdzają jednak (niestety!) słuszność drugiego podejścia. Pokazują nam, że dość częste klikanie w smartfona, to nasze permanentne podłączenie do Internetu, prowadzi do negatywnych skutków, zarówno fizycznych, jak i poznawczych – podkreśla.

Michał Klichowski wraz z europejskimi naukowcami z Projektu *CyberParks* udowodnił, że remedium może być tu jak najczęstsze korzystanie z urządzeń mobilnych w naturalnym otoczeniu. Tak zrodziła się idea cyberparków.

Cyberparki, czyli baw się technologią w naturze

Cyberpark to kategoria, która powstała już w latach 80. ubiegłego wieku w Słowenii. Początkowo był to tylko artystyczny performance, tworzony przez artystów, podczas którego w tkankę miejskiego parku implementowano jakieś elementy zaawansowanej techniki. Natomiast w 2013 roku Michał Klichowski wraz z zespołem zdefiniował cyberparki jako pewne hybrydy natury i techniki, gdzie z jednej strony użytkownicy mają być bardzo bli-

sko rzeczywistości przyrodniczej, czy naturalnej, a z drugiej mają być niejako podłączeni do nowych technologii. Z założenia nie musi być to tylko park, jako pewna wydzielona przestrzeń w mieście, ale może to również być na przykład jakiś skwer, campus uniwersytecki czy ogród botaniczny.

Jak podkreśla, rozwój technologiczny doprowadził do tego, że współcześni ludzie cierpią na tzw. deficyt natury. – Spędzamy za mało czasu w kontakcie z przyrodą, który jest niezbędny do prawidłowego funkcjonowania zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Najnowsze badania pokazują, że nie tylko aktywność motoryczna, ale również poznawcza, w kontakcie z przyrodą jest najefektywniejsza. Jeżeli chcemy się uczyć, bądź choćby czytać, to najlepiej robić to blisko przyrody – mówi.

Naukowcy projektujący i badający cyberparki mają nadzieję na zniwelowanie deficytu kontaktu z naturą. Pragną pokazać, jak można bardziej „higienicznie” korzystać z nowych technologii. Cyberparki mają zachęcać ludzi do tego, aby zabierali do parków swoje technologie, np. laptopy czy tablety i korzystali z nich blisko przyrody.

Cyberpark na poznańskim poletku

Takich przestrzeni, jak podkreśla dr hab. Michał Klichowski, jest wciąż bardzo mało. Są jednak miejsca, które spełniają kryteria cyberparku. Naszym poznańskim przykładem może być Ogród Botaniczny, który jest wyposażony w pewnego typu cyfrowy wymiar. – Pracownicy Ogrodu przygotowali specjalne aplikacje na telefon. Przy różnych roślinach są QR kody, które można zeskanować, by dowiedzieć się czegoś na temat danego kwiatu, krzewu czy drzewa, albo usłyszeć odgłosy płatków z danego fragmentu Ogrodu. Są tam też różne edukacyjne ścieżki, którymi możemy podążać, prowadzeni wskazówkami z aplikacji. W Ogrodzie jest też Wi-Fi, co zachęca do pracy, np. na ogrodowej ławce. Jeśli chodzi o miasta w innych krajach, to najwięcej modułów bliskich idei cyberparku jest Bristol. Mam poczucie, że to miasto jest jednym wielkim cyberparkiem – podsumowuje Klichowski.

Jagoda Haloszka

W CHEMII NIGDY NIC NIE WIADOMO

Dawid Marcinkowski, student V roku chemii, bada tajemnicze nanomagnetyki molekularne, na co pozyskał „Diamantowy Grant”. W czasie wolnym od projektów majsterkuje przy unikalnym trabancie polo z 1991 roku.

Dawid po maturze nie do końca wiedział, co chciał robić. Chemia ciekawiła go najbardziej, dlatego spróbował sił w tym kierunku. Wybór okazał się strzałem w dziesiątkę. Już na pierwszym roku trafił do grupy badawczej prof. Violetty Patroń, kierownik Zakładu Chemii Bionieorganicznej, gdzie zaczął współpracę z dr. Adamem Gorczyńskim. – Na początku nie wiedziałem, co to jest związek kompleksowy – wspomina – Gdy zagłębiłem się w tę dziedzinę, bardzo mnie to zaintrygowało i stwierdziłem, że chcę tu zostać. I tak przygoda trwa już piąty rok.

Dziś bada nanomagnetyki molekularne. W Polsce to jeszcze młoda i mało poznana, lecz obiecująca dziedzina chemii, która daje nadzieję na wynalezienie nośników pamięci nowej generacji, o bardzo dużej gęstości zapisu. Ich rolę mogłyby pełnić pojedyncze cząsteczki związków kompleksowych, którym Dawid poświęcił projekt realizowany w ramach „Diamantowego Grantu” („Poszukiwanie korelacji magneto-strukturalnych w kompleksach z jonami metali d- i f-elektrońowych o niskich i wysokich liczbach koordynacyjnych”). Student będzie projektował nowe związki, syntetyzował i obserwował ich właściwości np. jak zmiana struktury wpłynie na właściwości magnetyczne.

– Stworzymy bibliotekę związków, która pozwoli nam poznawać te zależności – mówi młody chemik. – Będziemy również badać efekt spin crossover czyli przejście elektronów w związku z poziomu podstawowego o niskim spinie na wysoki pod wpływem światła czy temperatury. Daje on możliwość zastosowania związków jako przełączników molekularnych czy też wyświetlaczy elektronicznych. To ciekawy teren do badań ze względu na możliwość późniejszego zastosowania związków w praktyce. W chemii nie ma rzeczy pewnych, ale to sprawia, że jest interesująca dziedzina.

Dawid Marcinkowski prowadzi pierwsze próbną reakcję, które pokażą, jak zachowują się związki – wtedy stwierdzi, czy w tę stronę warto podążać. Badania magnetyczne wymagają skomplikowanej aparatury, dlatego współpraca z naukowcami z UAM i innych ośrodków m.in. z Uniwersytetu Wrocławskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest po prostu koniecznością.

– W magnetyzmie bardzo ważne jest, żeby związki były czyste, trzeba dobrze poznać ich strukturę krystaliczną – mówi – Dla naszych związków mierzy je i rozwiązuje prof. Maciej Kubicki, nasz prodziekan. Współpraca i interdyscyplinarność jest bardzo ważną częścią pracy chemika, dzięki temu możemy dobrze poznać właściwości naszych związków.

Pieniądze z grantu Dawid Marcinkowski wyda zarówno na sprzęt, odczynniki, analizy, jak i na staż wyjazdowy do jednego z ośrodków, z którym współpracuje. Jednocześnie zaangażował się w inny projekt, prowadzony wspólnie ze studentkami Darią Bryczyńską i Adrianną Kurkiewicz, który otrzymał dofinansowanie z programu „Najlepsi z najlepszych 3.0”. Łączy on pracę w laboratorium z uczestnictwem w konferencjach międzynarodowych i szkoleniach. Młodzi naukowcy badają właściwości biologiczne i katalityczne kompleksów z ugrupowaniem sulfonoamidowym występującym w związkach przeciwbakteryjnych. Troje chemików weźmie też udział w konferencjach w Sitges w Hiszpanii oraz w Moskwie.

W wolnych chwilach Dawid relaksuje się dopieszczając trabanta polo z 1991 roku, jego oczko w głowie. Chemik jest zafascynowany tymi autami i co roku jeździ na złoty. Jego przygoda ze starą motoryzacją zaczęła się przypadkowo.

– Gdy robiłem prawo jazdy, szukałem samochodu – wyjaśnia – Przeglądałem z tatą oferty i w pewnym momencie wpadła nam w oko reklama z trabantem. Kliknęliśmy i... tak oglądaliśmy już siedem lat. To był impuls. Mama na początku nie była zadowolona, uważała że to niebezpieczny samochód. Kupiłem trabanta polo, którego wyprodukowano tylko 40 tys. sztuk. Przez 4 lata jeździłem nim na co dzień, jednak konstrukcja auta jest delikatna i szybko korodowała, zaprzeczając potocznemu twierdzeniu, że trabant jest z plastiku i nie rdzewieje. Teraz jeżdżę nowoczesnym autem, a trabant pozostaje w garażu i jeżdżę nim w pogodne dni. Chcę utrzymać go w jak najlepszym stanie i zachować dla kolejnych pokoleń.

Ewa Konarzewska Michalak



FOT. ADRIAN WYKROTA



FOT. ADRIAN WYKROTA

Adam Młynarczyk, prof. Zygmunt Młynarczyk i dr inż. Grzegorz Borkowski

CZYSTE KĄPIELISKA DZIĘKI UAM

Trzech naukowców z Katedry Turystyki i Rekreacji WNGiG UAM wymyśliło i opatentowało nowatorski sposób oczyszczania wody. W ten sposób mogą powstać czyste kąpieliska w jeziorach, które dziś nie nadają się do rekreacji.

Obecnie większość jezior w Polsce zachodniej charakteryzuje się wysokim stanem troficznym, który w okresie letnim powoduje masowe zakwity sinic, okrzemek i zielenic. Uniemożliwiają one rekreacyjne wykorzystanie akwenów z kilku istotnych powodów: przekroczenia dopuszczalnych norm jakości wód, powodowanie zagrożenia dla zdrowia ludzi oraz nieprzyjemny smak i zapach. Postępująca eutrofizacja coraz bardziej ogranicza możliwość rekreacyjnego wykorzystywania wód, co poza problemami natury przyrodniczej, rodzi również problemy ekonomiczne (malejące dochody gmin z turystyki) oraz społeczne (brak odpowiednich kąpielisk i miejsc do letniego wypoczynku). Rozwiązaniem problemu są zainteresowane samorządy, którym zależy na przywróceniu atrakcyjności akwenów oraz sami turyści i mieszkańcy zdegradowanych obszarów, ponieważ w wielu miejscowościach brakuje odpowiednich miejsc do rekreacji wodnej. Często wolą oni wyjechać dalej, byle tylko znaleźć dogodną możliwość do letniego wypoczynku.

Odpowiedzią na te problemy są badania stanu oraz przydatności turystyczno-rekreacyjnej systemów rzeczno-jeziornych realizowane od 2000 r. przez prof. Zygmunta Młynarczyka i dr inż. Grzegorza Borkowskiego z Katedry Turystyki i Rekreacji na Wydziale Nauk Geograficznych i Geologicznych UAM. W celu przywrócenia funkcji rekreacyjnej zdegradowanym zbiornikom oraz ciekom wodnym zaproponowano nowatorski sposób oczyszczania wody w wydzielonych strefach kąpielisk. Został on opatentowany w UAM, a twórcami wynalazku są prof. Zygmunt Młynarczyk, dr inż. Grzegorz Borkowski oraz Adam Młynarczyk.

Jak to działa?

Wynalazek polega na zastosowaniu bariery oddzielającej oczyszczany fragment kąpieliska od pozostałej części zbiornika lub cieków wodnych. Bariera ma na celu ograniczenie dopływu zanieczyszczonych wód do wydzielonej strefy kąpieliska oraz zatrzymanie dopływu zakwitów glonów. Woda w kąpielisku poddana zostanie oczyszczaniu w systemie zlokalizowanym

ADAPTACJA ODCIĘTEGO FRAGMENTU ZBIORNIKA DLA CELÓW REKREACYJNYCH

Adaptacja będzie polegała na wyposażeniu strefy kąpieliska w urządzenia zarówno służące poprawie jakości wody, jak i zwiększające atrakcyjność turystyczną wydzielonej części zbiornika:

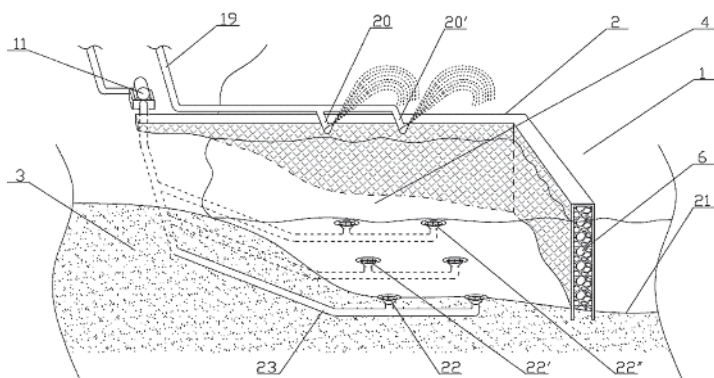
- ▷ fontanny z funkcją hydromasażu oraz jacuzzi, którymi doprowadzana będzie oczyszczona woda ze stacji oczyszczania. Dzięki zastosowaniu tego rodzaju urządzeń woda będzie jednocześnie napowietrzana oraz ogrzewana;
- ▷ tory wodne, umożliwiające przeprowadzanie zawodów sportowych;
- ▷ iluminacje świetlne z zastosowaniem światła laserowego;
- ▷ mariny;
- ▷ pomosty, w których umieszczone mogą zostać bariery oddzielające wydzielony fragment zbiornika lub cieku wodnego od pozostałej części zbiornika;
- ▷ inne, w zależności od potrzeb danego kąpieliska.

OPRACOWANIE GRAFICZNE MAREK SZAPIEL



Wizualizacja zagospodarowania strefy kąpieliska z zastosowaniem sposobu oczyszczania wody i instalacją urządzeń do rekreacji wodnej.

SCHEMAT SYSTEMU OCZYSZCZANIA WÓD W WYDZIELONYCH KĄPIELISKACH



Schemat systemu oczyszczania wody w kąpielisku

w pobliżu wydzielonego fragmentu akwenu. Pobór wody nastąpi poprzez filtry umieszczone w dnie zbiornika lub cieku wodnego bądź poprzez odpowiednie złożo geologiczne. Dalsze oczyszczanie nastąpi w systemie, do którego woda doprowadzana będzie poprzez system pomp. Wstępnie oczyszczona woda w złożu geologicznym lub filtrze, poddana może zostać napowietrzaniu, ozonowaniu, naświetlaniu promieniami UV. Dalej odprowadzana będzie pod ciśnieniem z powrotem do strefy kąpieliska poprzez system dyfuzorów. Ich zadaniem jest napowietrzanie oraz ogrzanie wyrzucanej wody poprzez kontakt z powietrzem atmosferycznym. W celu zwiększenia atrakcyjności turystycznej strefa przeznaczona dla kąpielących się może zostać wyposażona w urządzenia przystosowane do rekreacji wodnej, które jednocześnie będą służyły dodatkowemu napowietrzeniu wody oraz jej ogrzaniu. Pobór i oczyszczanie wody następować będzie w sposób ciągły przez cały okres użytkowania kąpieliska dla celów rekreacyjnych, natomiast po zakończeniu sezonu kąpielowego bariera zostanie otwarta i nastąpi całkowite wymieszanie się wód w kąpielisku z wodą jeziorną.

W skład systemu oczyszczania wód powierzchniowych wchodzi:

- ▷ bariera oddzielająca strefę kąpieliska od zbiornika lub cieku wodnego;
- ▷ system pobierania wody;
- ▷ system oczyszczania wody;
- ▷ adaptacja odciętego fragmentu zbiornika dla celów rekreacyjnych.

Tania i skuteczna metoda

Przedstawiony system oczyszczania wód może zostać zastosowany w każdym akwenu lub cieku wodnym. W zależności od rozwinięcia linii brzegowej, falowania, kierunku i objętości przepływu wody, a także stopnia jej zanieczyszczenia, istnieje możliwość zastosowania barier o różnym kształcie, wysokości i stopniu filtracji. Opisany sposób nie wyklucza rekultywacji całego akwenu, jest natomiast metodą przynoszącą znaczną poprawę jakości wody w kąpielisku w krótkim czasie i przy stosunkowo niewielkich nakładach finansowych, w porównaniu do stosowanych metod rekultywacji. Obecnie trwają prace nad projektem architektoniczno-budowlanym dla zastosowania opisywanego sposobu w konkretnych lokalizacjach. W grudniu 2017 r. autorzy metody złożyli też zgłoszenie patentowe na rozwinięcie sposobu wydzielania kąpieliska o system zasilania, oczyszczania i dogrzewania wody.

dr inż. Grzegorz Borkowski

UZALEŻNIONA OD DZIAŁANIA

Z Anną Rutą, pełnomocniczką rektora UAM ds. osób z niepełnosprawnościami,
rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

Zacnę przewrotnie – słyszałam, że jak da się pani palec, to będzie pani chciała rękę...

... no, proszę, jestem zaskoczona! Aż mi głupio...

Skąd taka opinia?

Faktycznie stawiam bardzo dużo wymagań, przede wszystkim sobie, i to pewnie rzutuje na otoczenie. Chcę jak najwięcej zrobić i działać. Osoby, które ze mną współpracują, w mniej lub bardziej bezpośredni sposób, to odczuwają. Pewnie trudno mnie przystopować. Jeśli ktoś chce to zrobić, zaczynam się irytować i czekam na konkretne argumenty, dlaczego.

Od trzech lat jest pani pełnomocniczką rektora UAM ds. osób z niepełnosprawnościami. Jaka była droga do tego stanowiska?

Wszystko zaczęło się od czasów, gdy dostałam się na filologię germańską. Przed rozpoczęciem roku akademickiego pojechałam na campus studencki do Międzyzdrojów. Tam poznałam osoby z samorządu studenckiego, było to dla mnie cenne, bo nie jestem z Poznania i potrzebowałam znajomości w nowym miejscu. Już na I roku studiów współpracowałam z samorządem i spodobało mi się. W międzyczasie na zajęciach w wf poznałam ludzi ze Zrzeszenia Studentów Niepełnosprawnych Ad Astra. Jako studentka chciałam te dwa światy połączyć. Widziałam, że były obok siebie, nie razem. Pan Roman Durda, ówczesny pełnomocnik, zauważył mnie i kilka innych osób, jak Huberta Rabięę, Krzyśka Osóbkę, i wdrażał nas w problemy dotyczące studentów z niepełnosprawnościami. Prof. Lesicki, wtedy prorektor UAM, pewnie pamięta, jak co tydzień przychodziliśmy do niego z nowym pismem. Teraz myślę sobie, że mógł mieć nas wtedy dosyć (*śmiech*). Gdy obroniłam dyplom pan Durda spytał mnie, czy chciałabym z nim pracować, a potem, kiedy przeszedł na emeryturę, zaproponowano mi funkcję pełnomocniczki.

Wspomniała pani o studiach, jak rodzice przyjęli pani decyzję o wyjeździe z rodzinnego domu na Kaszubach do Poznania?

Byli zrozpaczeni. Teraz śmiejemy się z tego z mamą. Na początku było dużo obaw. Jeśli nie odbierałam telefonu dłużej niż jeden dzień, w domu zaczynała się panika, że na pewno coś się stało.

A pani miała obawy?

Byłam absolutnie zachwycona tym, że mogę przeprowadzić się do dużego miasta. Dla mnie to była cudowna zmiana na styl życia, jaki zawsze chciałam prowadzić. A Poznań dlatego, że filologia germańska tu jest najlepsza. Jak dowiedziałam się, że się dostałam, nawet nie pytałam, czy są jakieś bariery. Po prostu się pojawiały. Takie nastawienie jest trochę pułapką. To, że przyjechałam tu bez obaw, bo chciałam i wiedziałam, co chcę studiować, nie znaczy, że wszyscy kandydaci tacy są. Dlatego nasze biuro planuje uruchomić doradcę zawodowego dla kandydatów, który zbada ich potrzeby związane z niepełnosprawnością, a jednocześnie pomoże w wyborze kierunku studiów.

Jest pani samodzielną osobą, mimo niepełnosprawności. Czy od dziecka uczyła się pani niezależności?

Po prostu mam fajnych rodziców, którzy traktowali mnie jak każde inne dziecko. Musiałam zmywać naczynia, obierałam

ziemniaki na obiad – opatentowałam metodę obierania jedną ręką. Bez nadopiekuńczego rozczulania się nad sobą.

Skąd pani czerpie energię?

Nawet nie wiem, czy to jest energia. Raczej jakaś forma uzależnienia od działania. Moim problemem jest to, że nie potrafię odpoczywać. Poleżę piętnaście minut i już się zastanawiam, co by tu poplanować. Może to trochę kwestia temperamentu, a może poczucia niedosytu, bo wiem, że jest tyle fajnych rzeczy, które można zrobić. Ten pęd sam się nakręca. Myślę że, kiedy ludziom wytłumaczy się, dlaczego to, co chcemy, jest ważne, robią to z dużą satysfakcją. 1 października organizowaliśmy dostępność inauguracji otwierającej stulecie uniwersytetu poznańskiego i kiedy rozmawialiśmy z Uniwersyteckim Studium Filmowym oraz pełnomocnikami z innych uczelni, co da się zrobić – nie spotkaliśmy się z żadnym oporem. Dla głuchych było tłumaczenie na język migowy, a dla osób słabosłyszących napisy, które kosztowały nas najwięcej wysiłku, bo były tworzone na tak zwanym live'ie. Ściągnęliśmy z Warszawy fundację, która wcześniej obsługiwała wystąpienia papieskie czy konferencję Baracka Obamy. Respeaker mówił do mikrofonu to, co mówca na scenie, system zapisywał, a korektor poprawiał błędy. Wszystko działało się na żywo. Fascynujące! Okazało się, że jesteśmy pierwszą uczelnią w Eu-

Poleżę piętnaście minut i już się zastanawiam, co by tu poplanować. Może to trochę kwestia temperamentu, a może poczucia niedosytu

ropie, która zrobiła coś takiego. Dostaliśmy gratulacje od uczelni z Włoch i Hiszpanii.

Jakie inne działania Biura UAM ds. Osób z Niepełnosprawnościami, które pani prowadzi, okazały się sukcesami?

Całkiem dobrze udało nam się wypromować samo biuro. Jest to nadal obszar do poprawy, ale coraz więcej osób wie, że ono istnieje. Wykładowcy korzystają ze wskazówek jak pracować ze studentami. Czasem przychodzą z własnymi pomysłami. Ciepło się robi na sercu, że mają do nas zaufanie. Bardzo cenię sobie współpracę z władzami dziekańskimi, które mają duży poziom zrozumienia dla potrzeb studentów. Wisienką na torcie jest projekt z poradnią psychologiczną dotyczący wsparcia zdrowia psychicznego. Zorganizowaliśmy szereg szkoleń podnoszących wiedzę na temat chorób psychicznych. Jest duży poziom stygmatyzacji, strachu, wydaje mi się, że częściowo udało nam się go obniżyć. Mówię – częściowo, bo to jest proces. Jeśli przychodzą panie z dziekanatu i proszą: „pani Aniu, moje koleżanki były na super szkoleniu, kiedy będą następne?“, wtedy nie da się nie zrobić kolejnych edycji. Sukcesem jest też współpraca z innymi uczelniami poznańskimi. W 2016 roku nawiązaliśmy współpracę na rzecz stwarzania warunków studentom z niepełnosprawnościami i z tego, jak grzyby po deszczu, wyłoniły się inne inicjatywy. Razem



FOT. ADRIAN WYKROTA

jesteśmy bardziej słyszani w kontakcie z miastem. Jeżeli cztery uczelnie mówią, że dane rozwiązanie nie jest do końca adekwatne do potrzeb naszych studentów, wtedy miasto inaczej do tego podchodzi.

Na IV Forum Uczelnianych Pełnomocników ds. Osób z Niepełnosprawnościami, które odbyło się w marcu na Morasku, mówiła pani o organizowaniu efektywnego wsparcia na uczelni. Jak się to robi?

Wymaga to dwóch rzeczy – solidnego biura i zaangażowanych osób. Nie jest to praca od 8 do 15. Niektórzy rodzice mają mój prywatny numer, zdarzają się telefony wieczorem – rekordzista

zadzwoił kiedyś po północy. Ważne jest oczywiście umiejętne stawianie granic. Trzeba też mieć jasny katalog wsparcia, studenci chcą wiedzieć, na co mogą liczyć, dlatego w zeszłym roku wypuściliśmy informatory dotyczące wsparcia. Zasady są dopasowane do indywidualnych potrzeb studentów, ale nie mogą odbiegać od standardów akademickich. Nie zwalniamy z zajęć, nie obniżamy poziomu kształcenia, tylko dostosowujemy narzędzia np. wydłużenie czasu trwania egzaminu, zmiana jego formy. Pokazujemy też jednostkom uczelnianym, jak budować sieć wsparcia, żeby nie tylko biuro je zapewniało. Marzy mi się, żeby za 5-10 lat biura w ogóle nie były potrzebne. Nie wiem, czy to jest osiągalne.

Dużo pani pracuje. Co robi pani dla relaksu?

Wszystko, co związane z wodą, to mój żywioł – najchętniej nurkuję, przynajmniej raz do roku, uwielbiam też pływać. Jak nie mam na nic siły, chętnie zaszywam się pod koczykiem z herbatą.

O czym pani marzy?

Bardzo chciałbym rozwinąć nasze biuro, zrobić z niego centrum wsparcia akademickiego z prawdziwego zdarzenia, które łączyłoby w sobie różne elementy. Myślę też, żeby wyjechać na Erasmusa pracowniczego i podpatrzeć rozwiązania, których nie ma w Polsce, a jeśli są, to nie na tak wysokim poziomie jak zagranicą. Myślę tu o Hiszpanii, która jest bardzo dobra, jeśli chodzi o usługi wspierające. Prywatnie planuję zrobić zaawansowany kurs nurkowania z uprawnieniami w jaskiniach. No i marzy mi się wyjazd do Tajlandii i do krajów Azji Południowo-Wschodniej.

Na IV Forum Pełnomocników ds. Osób z Niepełnosprawnościami dyskutowano o zmianach w finansowaniu wsparcia osób z niepełnosprawnościami w związku z ustawą 2.0.

Tegoroczne spotkanie odbyło się pod hasłem „Innowacyjne rozwiązania we wspieraniu osób z niepełnosprawnościami w szkolnictwie wyższym”. Reprezentanci Komisji Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP) ds. Wyrównywania Szans Edukacyjnych naświetlili gorącą kwestię czyli nowe realia w finansowaniu wsparcia osób z niepełnosprawnościami, jakie niesie za sobą ustawa 2.0.

Dwudniowe wydarzenie zostało zorganizowane przez Biuro ds. Studentów z Niepełnosprawnościami UAM w partnerstwie z Zrzeszeniem Studentów Niepełnosprawnych UAM Ad Astra oraz Narodowym Centrum Badań i Rozwoju.

KRÓTKA HISTORIA JEDNEGO ALBUMU

Pretekstem do napisania tego tekstu były 2 złote. Tyle kosztował album, który znalazłem na pchlim targu.

W tableau kadra UAM sprzed 60 lat i senator Jadwiga Rotnicka.

Stare garaże, wszechobecny kurz i kartony wypełnione papierami. Takie miejsca lubię najbardziej. Bo to w nich kryją się prawdziwe skarby – takie jak ten, który niedawno wpadł mi w ręce. Stary album w bordowej okładce przeplatanej sznurkiem. Już na pierwszy rzut oka wygląda dość dostojnie. Otwieram i wertuję.

„Uniwersytet im. Adama Mickiewicza. Wydział Biologii i Nauk o Ziemi. Studium geografii dla pracujących 1964-1970” – czytamy na stronie tytułowej. A dalej zdjęcia, na których widać władze uczelni i ówczesną kadrę. W jej szeregach Jadwiga Rotnicka – wtedy jeszcze magister. Dziś profesor UAM i senator z ramienia Platformy Obywatelskiej.

Panią senator odwiedzam w jej biurze. – Mam dla pani niespodziankę – mówię i pokazuję album. Jadwiga Rotnicka bierze ode mnie album i zaczyna go przeglądać. Na stronach opisanych jako „Geografia ekonomiczna” i „Geografia fizyczna” zdjęcia kilkudziesięciu osób. Większość to osoby w średnim, „niestudenckim” wieku. – Zgadza się – mówi prof. Rotnicka – Mieliśmy wtedy dwa typy studentów: 5-letnie stacjonarne magisterskie i 6-letnie zaoczne. Studium dla pracujących to właśnie studia zaoczne. Na te drugie zapisywały się głównie osoby już dojrzałe i pracujące, nie było wtedy zwyczaju, by podejmowała je osoba nie mająca pracy – wyjaśnia wątpliwości.

Album wydano w 1970 r. Pierwsze strony poświęcono władzom uczelni i Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi (dziś to już dwa osobne wydziały). – Siedziba wydziału mieściła się w Collegium Maius. Część zajęć odbywała się w Collegium Chemicum, gdzie była Katedra Geologii – tłumaczy Rotnicka.

Patrzy na zdjęcia i krótko opisuje, kto był kim. – Rektorem był profesor Czesław Łuczak, historyk. Dziekanem – profesor Stefan Kozarski, wówczas docent. Profesor Bogumił Krygowski był wtedy dyrektorem Instytutu Geografii, w obrębie którego były dwie katedry geografii fizycznej i ekonomicznej. Kierownikiem studium i prodziekanem był docent Stanisław Konieczny – opowiada. Jak przyznaje, tytuł docenta był wówczas popularny. W 1990 r. zastąpiono go tytułem doktora habilitowanego.

Na kolejnych kartkach – profesorowie i wykładowcy. – Pamiętam chyba wszystkich – mówi Rotnicka. I zaczyna opowiadać o swoich koleżankach i kolegach. – Prof. Maria Czekańska – to dydaktyk geografii, wieloletnia przedwojenna nauczycielka. Pani, która zwracała uwagę na zachowanie, na obycie i „czego jeszcze panienkom nie wypada robić”. Była wykładowcą dydaktyki i metodyki nauczania geografii. Prof. Stanisława Zajchowska – była profesorem geografii ekonomicznej. Zajmowała się geografiami osadnictwa. Prof. Tadeusz Bartkowski – typowy geograf fizyczny (środowiskowy). Prof. Jarosław Urbański – malakolog i zoolog. Trudny do przejścia. Egzaminował zawsze



FOT. ADRIAN WYKROTA

w towarzystwie dwóch asystentów. Zapraszał zawsze do siebie trzy osoby, słychać było szum muchy, plusk rybek w akwarium i...nerwy. Prof. Florian Barciński – postać bardzo znana, profesor dwojga uczelni, naszego uniwersytetu i wówczas Akademii Ekonomicznej. Kolejny człowiek trudny do przejścia na egzaminach. Krążyły o nim plotki i ploteczki, a przed drzwiami jego gabinetu odbywała się wielka giełda pytań, jakie czekały u niego na egzaminie ustnym.

Doc. Anna Czekalska – była kierownikiem zakładu geologii. Jej mąż, prof. Czekalski, również pracował na uczelni, ale nie ma go w tym tableau. Zajmował się właściwie wszystkim na geografii ekonomicznej. Słynął z anegdot i zagadek przyrodniczych. Mówił na przykład: Proszę mi wyjaśnić, co to znaczy „krowy w rowie”. Studenci na egzaminie dostawali duże oczy, jak nie chodzili na wykłady. A chodziło o to, że w Kalifornii, słynącej z uprawy pomarańczy, z tychże pomarańczy wytwarzano alkohol, a wytloki szły do rowów ściekowych. Krowy, które tam się pały, zjadały te wytloki, upijały się i leżały w rowach. Doc. Józef Bajerlein – przedwojenny nauczyciel, twórca hydrografii, hydrologii poznańskiej. W Jeziorach na terenie Wielkopolskiego Parku Narodowego miał limnologiczną stację pomiarową, do której studenci jeździli na praktyki. Prof. Stefan Kozarski – geomorfolog z dużymi osiągnięciami, bardzo szanowany naukowiec. Doc. Michał Żurawski – mój późniejszy kierownik zakładu. Hydrograf, hydrolog, zajmował się przede wszystkim gospodarką wodną. Dużo pod jego kierunkiem wykonywaliśmy prac na rzecz społeczności lokalnych, przedsiębiorstw, wodociągów. Był nałogowym palaczem fajki, z którą w zasadzie się nie rozstawał. By-

ła taka tradycja, że zabierał nas, młodych asystentów, ze sobą na kawę do klubu profesorskiego w Collegium Minus. Tam przedstawiał nas swoim znajomym profesorom, głównie prawnikom. Kiedyś, gdy tak szliśmy z Maiusa do Minusa, ktoś podbiegł do niego krzycząc: panie profesorze, pan się pali! Okazało się, że niezgaszoną fajkę włożył do płaszcza... Ot cały profesor Żurawski.

Doc. Hieronim Hurnik – astronom, kierownik obserwatorium astronomicznego. U niego studenci mieli pierwszy egzamin – z astronomicznych podstaw geografii. Dr Ludmiła Czechówna – zajmująca się kartografią. Dr Karol Rotnicki – mój mąż. Zajmował się geomorfologią i geologią czwartorzędu. Poznaliśmy się pod koniec studiów, ja byłam na II roku, a on był asystentem.

– A czym zajmowała się mgr Rotnicka? – pytam. – Hydrologią w zakładzie prof. Żurawskiego – słyszę w odpowiedzi. Jadwiga Rotnicka studia rozpoczęła w 1961 roku. Jak wtedy wyglądały studia? – Na roku przeciętnie było około 40 studentów, nie były to tak liczne roczniki jak obecnie. Od II roku studenci byli ukierunkowywani na specjalizację: połowa na ekonomiczną, druga na fizyczną. Pracowaliśmy zawsze pod kierunkiem jakiegoś profesora, kierującego konkretnym zakładem.

Studenci geografii – jak podkreśla Rotnicka – prawie całe wakacje spędzali na ćwiczeniach terenowych. – Taka praktyka odbywała się z meteorologii, topografii, klimatologii, geomorfologii, hydrografii... Z każdego przedmiotu po dwa tygodnie. Nikt jednak z tego powodu specjalnie nie narzekał. – Dzięki temu dużo wyjeżdżaliśmy w teren. A wyjazdy nie były wtedy tak popularne jak teraz, nie mówiąc nawet o zagranicznych, bo te w ogóle nie były możliwe. Te nasze praktyki były dla nas więc pewnego rodzaju wakacjami. Poznawaliśmy dzięki nim Polskę. Zawsze było na nich wesoło. Nie było wtedy Internetu a nawet telewizji, więc rozrywka rodziła się po prostu w naszych głowach – śmieje się.

Studenci na przełomie lat 60. i 70. byli też regularnie zatrudniani do pomocy przy różnych pracach terenowych. – Wtedy bardzo popularne były opracowania fizjograficzne – to było takie rozeznanie terenowe dla potrzeb planowania przestrzennego i rozwoju gospodarczego. Szacowało się jak głęboko zalegają wody, jaka jest zasobność, z jakich gruntów składa się dany obszar, jakie jest pokrycie terenu. Wszystko po to, by łatwiej było planować. Człowiek potrafił się dużo wtedy nauczyć – mówi Rotnicka. Sam system nauki też był nieco inny. Oprócz ćwiczeń i wykładów popularne były też konwersatoria. – Odbywały się one na IV i V roku. Na początku semestru profesor przydzielał tematy do opracowania. Student musiał opracować temat, przeczytać literaturę. A było z tym ciężko. Profesora nie obchodziło, czy znamy języki obce. Mieliśmy sobie jakoś radzić – jedni prosili o pomoc kolegów z kierunku językowego, inni nawet korzystali z usług tłumacza. W miarę dostępna była jedynie literatura rosyjska. Rosjanie żywcem tłumaczyli wszystkie prace naukowe anglojęzyczne i nie przestrzegali praw autorskich. Z perspektywy czasu dobrze oceniam ten typ zajęć. Konwersatoria uczyły sposobu syntetyzowania wiedzy, jasnego jej przekazywania, referowania i dyskusowania. Ten typ zajęć dobrze przygotowywał do pracy w szkole czy występów publicznych – uważa senator.

Życie studenckie skupiało się w centrum miasta. – Nie byliśmy wyrzuceni do kampusu na obrzeżach, dzięki czemu studenci tworzyli widoczną warstwę społeczną w mieście. Teraz tego mi brakuje. Był klub „OdNowa”, były „Maski”. W „Słowianie” koło Okrągłaka studenci siedzieli i popijali wino. Kultury picia piwa wtedy nie było. W akademiku „Hanka” była wielka stołówka, jedyna studencka w mieście, gdzie spotykaliśmy się na obiadach.

Do samego akademika portier nie wpuszczał poznaniaków, ale i tak wszyscy jakoś wchodzili i sypiali „na waleta” – śmieje się Rotnicka.

Gdy studenci zaoczni z tego tableau zaczynali swoją przygodę z uniwersytetem – ona zaczynała karierę naukową. – Najpierw przez 3 miesiące pracowałam na zastępstwie w szkole podstawowej. Uczyłam w III klasie wszystkiego: języka polskiego, gimnastyki, rachunków... W listopadzie 1966 r. podjęłam pracę na uczelni. – tłumaczy. W 1975 r. doktoryzowała się z geografii fizycznej (specjalność – hydrologia). Czternaście lat później na UJ zrobiła habilitację. W 1990 roku zaangażowała się w samorządzie – dostała się do rady miasta i – jak sama mówi – powoli zaczęła tracić bardzo ścisły kontakt z uniwersytetem. – W międzyczasie z inspiracji prof. Ozgi-Zielińskiej przez 10 lat brałam udział w szkołach hydrologicznych w Jabłonn pod Warszawą. Integrowały one środowiska zajmujące się hydrologią – z uniwersytetów, politechnik i akademii rolniczych. Zaowocowało to pogłębieniem wiedzy hydrologicznej – wyjaśnia – co wpłynęło na moją karierę naukową. W 2007 r. przeszła na emeryturę, choć cały czas pracowała na UAM. Dziś jest senatorem z ramienia Platformy Obywatelskiej.

Filip Czekala

ŻYCIE UNIWERSYTECKIE

uniwersyteckie.pl

z pasją o Życiu



FOT. ADRIAN WYKROTA

MAMY OKO NA UNIWERSYTET

SZANSA ZA ZAKRĘTEM

A gdyby tak, Beata Tadla, napisała podręcznik dla poznańskich studentów dziennikarstwa? Jako ich, że tak powiem, starsza koleżanka z uczelni, jej absolwentka? Studenci uważają, że to świetny pomysł, ona sama śmieje się zaskoczona i mówi: „O, nie, nie!”. Z Beatą Tadelą, dziennikarką, rozmawia Aleksandra Polewska

Jedna z książek pani autorstwa nosi tytuł „Niedziela bez Teleranka”. Dzisiejszym studentom należy się w tym miejscu wyjaśnienie, że był to w czasach PRLu program, który w niedziele o 9 rano przykuwał do telewizorów dzieci i młodzież z całego kraju...

I pewnej niedzieli, 13 grudnia 1981 roku, włączyliśmy o 9 telewizory i zamiast słynnego, animowanego koguta, rozpoczynającego swoim pianiem ulubiony program, zobaczyliśmy nieruchomą planszę w czarno-białe pasy. Telewizja przestała nadawać o północy, bo w Polsce wprowadzono stan wojenny. Po tem pojawił się generał Jaruzelski i uzasadnił decyzję reżimowych władz.

Pytam o tę książkę i ten tytuł, bo zastanawiam się, czy ma ona związek z jakąś pierwszą, nieświadomą jeszcze, pani obserwacją dziennikarską? W sensie: dzieje się coś niepokojącego, coś ważnego?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałam (śmiech)! Ale chyba nie. Miałam wtedy 6 lat. Natomiast mniej więcej w tym czasie zaczęłam bawić się w radio. Mieliśmy w domu magnetofon szpulowy, a ja zapraszałam do domu koleżanki z podwórka, stawiałam przed nimi mikrofon i nagrywałam wywiady. Była to zdecydowanie bardziej zabawa niż próby przymierzania się do zawodu dziennikarza. To nie było tak, że już jako dziewczynka chciałam być dziennikarką, choć może moja podświadomość już mnie do tego pchała.

Ale przyszedł czas, że taki pomysł pojawił się w pani głowie.

Kiedy byłam w liceum, dorabiałam sobie do kieszonkowego roznosząc „Gazetę Legnicką”, bo Legnica to moje rodzinne miasto. Pewnego dnia zobaczyłam w tej gazecie ogłoszenie o castingu na pracowników powstającego „Radia Legnica” i po prostu poszłam na ten casting. To był rok 1991, miałam 16 lat. Na castingu oceniano głównie predyspozycje głosowe. Trzeba było coś przeczytać, coś opowiedzieć. Gdyby wtedy postawiono przede mną trudniejsze zadania, nigdy nie dostałabym pracy w radiu. Nie miałam zielonego pojęcia o tym, jak się robi radio, bo byłam tylko jego słuchaczką. Głównie słuchałam kultowej już wówczas listy przebojów programu III Marka Niedźwieckiego. W komisji kwalifikującej był szef radia, jeszcze jeden mężczyzna i Janusz Kukuła – szef Teatru Polskiego Radia. Byłam najmłodszą uczestniczką castingu i chwilę później najmłodszą dziennikarką „Radia Legnica”, taką redakcyjną maskotką. Zajmowałam się wtedy wszystkim. Pisałam serwisy, prowadziłam koncert życzeń, nagrywałam reklamy. Chciałam wszystkim udowodnić, że chociaż jestem najmłodsza, będę profesjonalistką. Radio zostało przyjęte przez słuchaczy bardzo dobrze, słuchalność rosła. Przypominaliśmy troszeczkę rozgłośnię z bardzo popularnego wówczas serialu „Przystanek Alaska”, która była blisko bardzo lokalnych spraw i mieszkańców.



Jak pani godziła pracę w radiu ze szkołą?

W szkole nie miałam taryfy ulgowej, ciężko pracowałam i udawało mi się godzić obie te rzeczy. Zresztą nastolatki od zawsze mają jakieś swoje pasje, poświęcają im sporo czasu i nie zaniedbują nauki. To jest do zrobienia. Moją pasją było radio. W „Radiu Legnica” pracowałam do 1996 roku, w którym to przeniosłam się do Warszawy i rozpoczęłam współpracę z radiem „Eska”.

Jednak po drodze została pani również studentką uniwersytetu poznańskiego. Nie wybrała pani jednak dziennikarstwa, czy politologii, a kulturoznawstwo. Dlaczego?

W liceum uczyłam się w klasie humanistycznej, która miała program mocno zorientowany na kulturę. Mieliśmy dodatkowe zajęcia z filozofii, teatru, filmu. To była świetna sprawa. Wybór kulturoznawstwa wiązał się z chęcią kontynuowania tego. Tym bardziej, że ukończyłam wcześniej studium menedżerów kultury. Moją specjalizacją było zarządzanie instytucjami kultury, a w związku z tym mieliśmy też wiele przedmiotów związanych z zarządzaniem w ogóle. Ta wiedza bardzo mi się później przydała w pracy. Studiowałam zaocznie, bo nie wyobrażałam sobie życia bez pracy w „Radiu Legnica”. Przyjeżdżałam do Poznania na weekendowe zjazdy, zajęcia odbywały się „na Szamarzu” oczywiście. W tamtych czasach świat nie był jeszcze zdigitalizowany więc spędziłam

Będąc dziennikarzem, trzeba mieć w sobie dużo empatii, pamiętać, że to zawód wykonywany przez człowieka i adresowany do człowieka

mnóstwo czasu w bibliotekach i czytelnich. Zresztą również w ich wnętrzach pisałam swoją pracę magisterską.

Czemu była poświęcona?

Filmowi polskiemu zmienionemu przez rok 1989. Tytuł „Polskie kino w okresie transformacji ustrojowej”. Moją promotorką była prof. Urszula Kaczmarek, bardzo sympatyczna, oddana, zainteresowana kulturą i potrafiąca pięknie o niej mówić. Miałam szczęście do profesorów.

Czy mam rozumieć, że żaden z wykładowców i egzaminatorów, przez 5 lat studiów nie wzbudził w pani ani odrobiny strachu?

Prof. Jan Grad. Jego się trochę bałam.

A skąd wziął się pomysł na UAM? Czy bardziej naturalnym wyborem nie wydawał się Uniwersytet Wrocławski?



FOT. 2X VIKTOR KOZARYK

W roku, w którym zaczynałam studia, na Uniwersytecie Wrocławskim nie utworzono tego kierunku. I padło na Poznań. Zresztą dodam, że z uniwersytetem poznańskim mam do dziś pewien kontakt poprzez panią prof. Halinę Zgólkową, która jest przewodniczącą kapituły programu Mistrz Mowy Polskiej. A ponieważ ja otrzymałam ten zaszczytny tytuł ileś lat temu i wciąż jestem aktywnym uczestnikiem tego programu, to do dziś utrzymujemy kontakt.

Wiele lat po magisterium na UAM rozpoczęła pani, tym razem na SWPS w Warszawie, studia z zakresu kształcenia głosu i mowy...

Język polski, mówienie, świadome mówienie, polszczyzna jako taka, zagadnienia związane z rozwojem języka zawsze leżały mi mocno na sercu. Stąd decyzja o studiach podyplomowych na SWPS. Pracuję głosem, występuję publicznie już 28 lat i nabyłam w tym zakresie bardzo wiele doświadczenia, natomiast studia z zakresu kształcenia głosu i mowy pomogły mi zdobyć również wiedzę teoretyczną. I okazały się bardzo przydatne, bardzo się z nich cieszę. Kiedy rozpoczyna się studia podyplomowe po czterdziestce, to robi się to z pasji i tę wiedzę się naprawdę chłonie. Muszę powiedzieć, że na zajęcia leciałam jak na skrzydłach. Ponadto studia te pomagają także w kształceniu moich studentów.

Właśnie chciałam o tych studentów zapytać. Bo choć Uniwersytet Wrocławski nie był pani Alma Mater, to z czasem pojawił się w pani życiu jako miejsce pracy. Uczy tam pani dziennikarstwa.

Już od paru ładnych lat i czuję się z tym wspaniale. Moi studenci to ludzie dwukrotnie młodszy ode mnie, dają mi mnóstwo energii. Bardzo lubię się rozwijać i cenię sobie łączenie pokoleń. Cenię kontakt zarówno z osobami starszymi ode mnie jak i młodszymi. Lubię czerpać od jednych i drugich. Moi studenci odświeżają moje poglądy, że tak powiem, a ja dzielę się w zamian swoim doświadczeniem i wiedzą. Często otwieram im też szeroko oczy na rzeczywistość, bo na co dzień jednak wszyscy żyjemy w schematach, w stereotypach. Ogromnie lubię adeptom dziennikarstwa ukazywać tzw. telewizyjną kuchnię, rozwiewać błędne wyobrażenia. Klasyczny przykład to praca dziennikarstwa telewizyjnego. W powszechnej opinii pojawia się on w pracy tylko wtedy, gdy widać go na ekranie. Tymczasem to bardzo ciężka harówka, związana również z ogromnym wydatkiem emocjonalnym, trwająca zwykle cały dzień, a ten krótki czas na wizji to jedynie jej efekt finalny. Mam swoje grupy studentów nie tylko na uniwersytecie wrocławskim, ale także na SWPS w Warszawie. Ogromnie to lubię i cenię.

To na koniec poproszę o kilka słów dla poznańskich studentów dziennikarstwa. Na co warto zwrócić uwagę, przygotowując się do tego zawodu?

To jest dziś zawód bardzo trudny. Ja jestem już w nim od 28 lat, byłam świadkiem wielu przemian, zwłaszcza tych wiążących się z wprowadzeniem nowych technologii, które bardzo zmieniły tę pracę, bo przecież Internet zrewolucjonizował ją w każdym calu. Kiedy zaczynałam, weszłam do świata mediów po prostu z ulicy, podobnie jak wielu innych początkujących w tamtym okresie dziennikarzy. Nie mieliśmy w zasadzie żadnego przygotowania, wszystkiego musieliśmy uczyć się od zera, poza tym, to my musieliśmy tworzyć nowe dziennikarstwo, nie mając, mówiąc eufemistycznie zbyt wielu wzorców. Do roku 1989 media w Polsce podporządkowane były dawnemu reżimowi, a my musieliśmy stworzyć nie tylko wolne media, ale i takie, które funkcjonowałyby jak należy na rynku komercyjnym. Chcę przez to wszystko powiedzieć, że będąc dziennikarzem, trzeba mieć w sobie dużo empatii, pamiętać, że to zawód wykonywany przez człowieka i adresowany do człowieka, trzeba też być nieustannie otwartym na zmiany i na rozwój. Nie bać się.

I widzieć tzw. szansę za zakrętem? Nie poddawać się zawirowaniom, jakie mogą pojawić się w osobistej karierze? Kilku studentów, z którymi rozmawiałam, mówi o pani „niezniszczalna”, właśnie z związku z różnymi zakrętami zawodowymi, z jakich wyszła pani zwycięsko.

Tak mówią? Bardzo mi miło! Nie można tych – zakrętów – jak pani to nazwała, brać za bardzo do siebie. Jeśli popełniło się błąd, to oczywiście, że trzeba się z tym zmierzyć, wyciągnąć wnioski, ale później iść dalej. Jednak przychodzą zawirowania, które nie muszą mieć z jakością naszej pracy nic wspólnego. Zmienia się właściciel stacji, zmienia się układ sił politycznych, wzywa danego dziennikarza szef i mówi: „Jesteś profesjonalistą, jesteś świetny, ja sam bardzo cię cenię, twoje programy mają oglądalność, ale zmienia nam się ogólna koncepcja programu stacji i niestety w tej nowej koncepcji nie ma dla ciebie miejsca.” Wtedy nie ma sensu załamywać rąk. Trzeba szukać innego miejsca. Może się ono okazać nawet lepszym od poprzedniego, może sprawić, że na nowo w nim rozkwitniemy. Zresztą, zdarza się, że to ono już nas szuka. Ja powtarzam moim studentom, że powinni mieć świadomość, że w tej pracy nic nie trwa wiecznie, że przychodzi czas, kiedy z telewizji będzie trzeba przejść do radia albo do prasy i że nie ma w tym nic deprecjonującego. Dziennikarstwo ma dziś tak wiele odmian, że jest w czym szukać.

ŻEGNAŁA GO CAŁA PRZYRODA POLSKA

Wiemy dokładnie, co i gdzie robił Zygmunt Czubiński 26 kwietnia 1937 roku. Na Pojezierzu Brodnickim, na stromym brzegu jeziora Cichego, zbierał fiołki. Do kolekcji. Mieliśmy największy w Polsce zbiór zielnikowy najróżniejszych fiołków, w nim właśnie także te, z dokładnym oznaczeniem miejsca i czasu zbioru.

Wśród oficjalnych zdjęć profesora jest to, gdy w jasnej koszuli patrzy wprost w obiektyw. Zostało mocno wykadrowane, bo w spuszczaniu zdjęcie jest w całości – widać na nim pogniecione spodnie, znoszoną kurtkę i to, że profesor tkwi w jakichś chaszczach, z jakąś gałązką sięgającą piersi. A najbardziej wzruszające jest zdjęcie, podpisane: profesor Czubiński: biała plamka to maleńka postać w jasnej kurtce: stoi tyłem w jednym z wielkich wąwozów Gór Świętokrzyskich.

Dobry a nieustępliwy

Był bardzo kochany. W przemówieniach nad trumną i nekrologach ciągle powtarzają się słowa: był dobry, był życzliwy, pomocny, jeden z najpiękniejszych ludzi, nasz profesor. A w tej dobroci nie był safandulą, o nie. Nieustępliwy, walczył o ochronę przyrody z żarliwością wielkiego naukowca – jak mówił S. Białobok. Ale najbardziej zadziwia wielkość pracy, którą wykonał w swym niedługim życiu. „Jest rzeczą wprost niesłychaną, że jeden człowiek wziął na siebie tak wielki trud i z tego zadania wywiązał się w pełni” – stwierdził Władysław Szafer.

Urodził się w 1912 roku w Kielcach („działo się w mieście Kielcach, o godz. 4 po południu stał się Marcin Czubiński, urzędnik akcyzy i okazał dziecią, urodzone o godz. 10 wieczorem, z małżonki Natalii, lat 25 liczącej... Dziecięciu temu nadano imiona Zygmunt Jan) w domu, na którym wisi dziś upamiętniająca go tablica. Uroczystość odsłonięcia uświetniła koncertem na skrzypcach córka Marta. W spuszczaniu, w tecze z pracami zaplatał się bilecik profesora do 7-letniej Marty, wypominający wierszem jej psoty, z dodatkiem na koniec „więc dla Marty skrzypczki nadeszły jeszcze z nieba paczki”, podpis: św. Mikołaj, Niebo, 24 XII 1962.

Przyrodnicze włóczęgi

W Kielcach, w gimnazjum, związał się z harcerstwem. Jego drużyna „Puchaczy” należała do najlepszych. Właśnie w tych wyprawach z harcerzami nauczył się rozkoszować bliskością przyrody. Jego nauczycielem biologii, człowiekiem, który go ukierunkował, był Kazimierz Kaznowski. W spuszczaniu jest zeszyt nauczyciela, gdzie pod datami lat 20. czytelnym maczkiem zapisanych jest zawsze po kilkadziesiąt łacińskich nazw różnych roślin na poszczególnych wyprawach znalezionych. Z Kaznowskim później Czubiński napisał wspólną pracę o przyrodzie Gór Świętokrzyskich. Cenił przyrodników amatorów. W spuszczaniu zachował się uroczysty list jednej z koleżanek: „bardzo jestem wdzięczna, że skierował pan do mnie tego bryologa amatora ze Sztumu. Ma on tak prześliczne preparaty mchów, że zwiędłam z zazdrości”. Profesor też był wybitnym bryologiem tj. znawcą mchów i porostów.

Z Kielc wyrusza na studia do Poznania, gdzie mistrzem jego zostaje Paczowski, a potem Wodziczko, u którego odbył

„practicum botaniczne”. Od nich uczy się, jak zgubne są skutki zachwiania równowagi w przyrodzie.

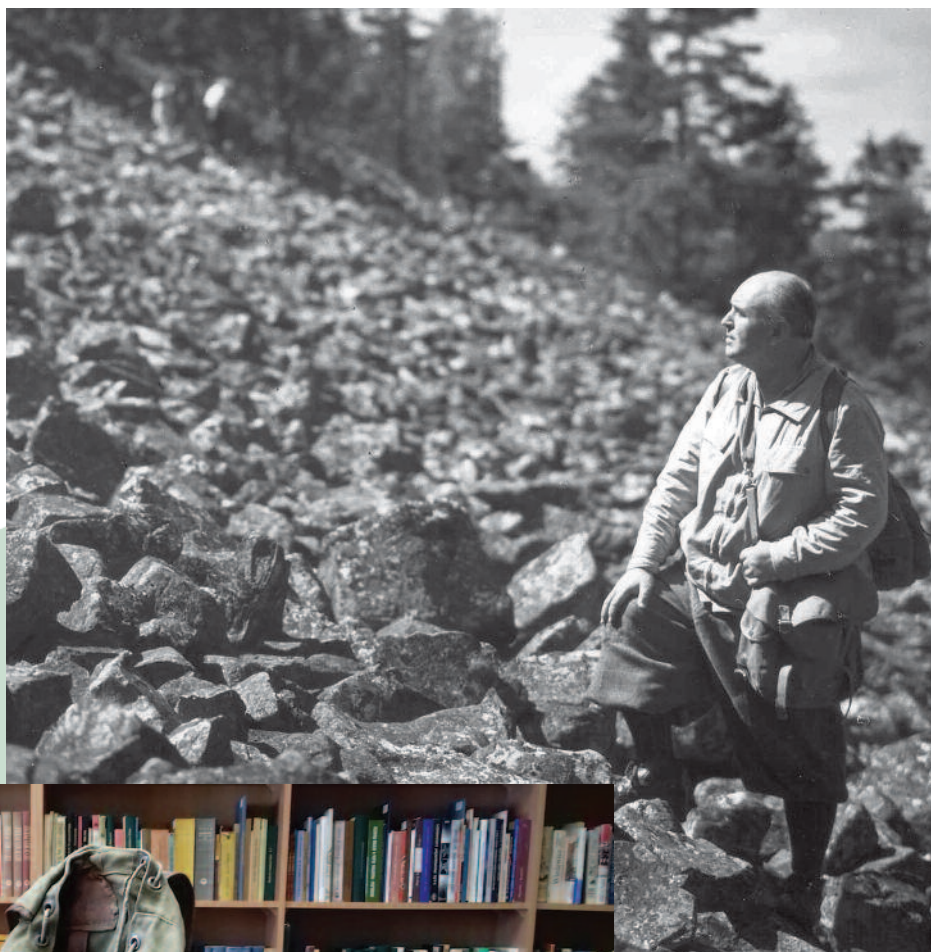
Jak większości młodych naukowców młodego uniwersytetu poznańskiego karierę przerywa mu wojna. Wraca do Kielc, gdzie uczy na tajnych kompletach gimnazjalnych, a potem przenosi się do Krakowa (kontynuuje tam tajne nauczanie), gdzie zostaje zatrudniony w Głównym Wydziale Lasów. W spuszczaniu zachowały się dokumenty wymagane od „niebędących Niemcami pracowników”. Jest tam więc deklaracja o posłuszeństwie, zachowaniu tajemnicy, zakazie przyjmowania podarunków i opuszczania miejsca pracy oraz osobno o zachowaniu jak najściślejszego milczenia po zakończeniu pracy. Jest rozbudowane świadectwo czystości rasy, z którego dowiemy się, że dziadek był budowniczym fortepianów. Sam Zygmunt też jest miłośnikiem muzyki i dobrze gra na fortepianie.

Coś z niczego

W kwietniu 1945 roku wraca do Poznania, w czerwcu robi doktorat o torfowiskach Pojezierza Brodnickiego (tam, gdzie zbierał fiołki) i wkrótce podejmuje wielkie dzieło swojego życia. Otrzymuje Zakład Systematyki i Geografii Roślin, a właściwie otrzymuje... nic. Budynek spalony, zbiory zniszczone, a jedynym pracownikiem jest młoda magister, Aniela Krawiecowa, wdowa po świetnie zapowiadającym się botaniku, który zginął w kampanii wrześniowej. We dwójkę „obsługują” 300 studentów – tyle było w roczniku. Już 7 lat później Zakład ma 70 tys. zbiorów zielnikowych (jedne z największych w kraju), pracowników roślin zarodnikowych, limnologiczną i geobotaniczną. Biblioteka wzrosła 6-krotnie. Czubiński przejął też Ogród Botaniczny, gdzie stworzył 9 nowych działów. Jak dodaje skromnie, jego dorobek naukowy nie jest tak duży jak kolegów, właśnie z powodu obciążenia organizacyjnego. Ten „mały dorobek” to 37 prac w ciągu 8 lat! A mieszkał wtedy – czego dowiemy się z podań do urzędu kwaterunkowego – w jednym pokoju z siostrą, jej mężem i dzieckiem. Równocześnie należał do mnóstwa towarzystw, rad, komisji – od Rady Ochrony Przyrody na szczeblu centralnym po Towarzystwo Miłośników Miasta Poznania. Wszędzie sumiennie traktował swoje obowiązki, o czym świadczą liczne protokoły i notatki z zebrań w spuszczaniu. Problemy te same: brak opieki nad roślinami miododajnymi, wadliwa gospodarka na torfowiskach, nadmierna eksploata-

Poznański oddział Archiwum PAN zawiera 176 zespołów – to spuścizny wybitnych uczonych. Dokumenty, listy, fotografie zawierają informacje ważne, a czasem zabawne i wzruszające. Mówią to, czego nie powie krótka notka biograficzna. W kolejnych numerach Życia poprzez fragmenty tych spuścizn pokazywaliśmy sylwetki uczonych, aby w ten sposób i ci wielcy poprzednicy byli obecni w obchodach 100-lecia naszego uniwersytetu.

Słynny parczany plecak prof. Zygmunta Czubińskiego, z zapisanym na rzemieniu telefonem do uniwersytetu, jest też w spuściźnie. Ileż ten plecak widział roślin, zwierząt, krajobrazów! Imieniem profesora nazwano rezerwat Bucznicy Storczykowej, las bukowo-sosnowy k. Zwierzyńca, rezerwat cisów w Górach Świętokrzyskich. Jest też medal jego imienia przyznawany za prace z geobotaniki; są ulice na Pomorzu i Ziemi Lubuskiej. „Ostatni hymn pożegnania śpiewa ci dziś przyroda polska” – powiedział na pogrzebie przedstawiciel leśników. I to nie była przesada.



cja naturalnych stanowisk roślin leczniczych, za mało trawników w Poznaniu, zbyt duży odłów żab na eksport, niszczące parki wiejskie itd. Już pół wieku temu uważał, że warto zaniechać masowej melioracji (torfowiska!), że w rezerwach należy zachować wiatrołomy i wykroty po to, by mogły tam żyć całe grupy roślinne i zwierzęce., że trzeba w rezerwach likwidować drogi wewnętrzne, pozostawiając tylko szlaki dla turystów i naukowców. I tak jak dzisiaj spotykał się często z niechęcią i obojętnością. Jak czytamy w jednym z protokołów, nawet „członkowie Komitetu Powiatowego PZPR podjudzali górali w Nowym Targu” przeciw ekologom.

Wąwóz Homole, Dolina Raclawki, Kamień Grzyb, Bocheńskie Błoto, Diabli Skok, Zagożdżon, Stary Załom – czy ktoś zna te rezerwy? A on znał je wszystkie, te i dziesiątki innych, objeżdżał je niestrudzenie i był ich niedoścignionym do dziś znawcą.

Zostawmy przylaszczki

W spuściźnie są też opinie prof. Czubińskiego o roślinach, które należy – lub nie – włączyć do listy pod ochroną. I tam między uzasadnieniem dla dyptama czy arcydzięgla, Czubiń-

ski napisał: „raczej nie należy jeszcze chronić przylaszczki, bo przecież coś z kwiatów wiosny trzeba zostawić dla społeczeństwa”... Dziś już nie sprzedaje się tych błękitnych bukietów. Ale też w Krajówce nie ma już krasiek, 100 gniazd czapli, rzadkiej w Polsce kani rudej czy drozda rdzawobocznego, które opisał w jednej ze swoich wypraw...

W ciągu niespełna 20 lat wykształcił 250 magistrów, 20 doktorów, 11 docentów. Co czwartek o 18 pracownicy spotykali się w Zakładzie, jak wspomina jedna z uczennic. Referat był obowiązkowy, zaś każda praca odczytana in extenso i poddana ostrej krytyce. Profesor tępił zwłaszcza zbyt wąskie specjalizacje. „Zachęcał do pracy w sobie tylko właściwy sposób” – wspomina uczennica. A ktoś inny dodaje: nie wiadomo, czego zasiał wśród uczniów więcej – wiedzy czy miłości do przyrody.

Zmarł nagle 1 lutego 1967 roku, w wieku 55 lat. Jego ostatni notes wypełniony został na wiele dni naprzód terminami egzaminów, posiedzeń, wycieczek.... W 30-lecie jego śmierci, dla uczczenia jego pamięci, w wycieczkę po wielkopolskich rezerwach wybrali się jego uczniowie. Szedł z nimi już tylko symbolicznie...

Maria Rybicka



FOT. ADRIAN WYKROTA

AKADEMICKIE SMAKI

To z pewnością będzie hit wydawniczy, o którym będzie się rozmawiało i do którego tym bardziej będzie się wracać. Idea narodziła się na plaży. W trakcie spaceru trójki panów (bez psa i nie w łódce). Zdecydował prof. Tadeusz Wallas (znakomity przepis na peklowane golonki), mówiąc: **ZRÓBMY TO.**

Akcja miała miejsce w Kołobrzegu, a wśród spiritus movens przedsięwzięcia byli prof. Krzysztof Molenda (artysta w życiu, jak i artysta od sztuki mięsa) oraz redaktor Andrzej Niczyperowicz. Książka kucharska „Akademickie smaki” na stulecie Alma Mater jest już dostępna.

– Co było robić. Wziąłem się do pracy – mówi Andrzej Niczyperowicz, wykładowca na WNPiD i kulinarna legenda wśród polskich dziennikarzy. Autor kilku książek kucharskich, który przez z górą rok dzwonił, pisał, prosił, przekupywał dobrym słowem późniejszych autorów.

Problemów było więcej. Fotografowanie jedzenia nie jest łatwe. Przykładowo, jak sfotografować szare kluchy ze skrzyczkami, żeby wyglądały dobrze? Do tego potrzeba niemal artyzmu autora, albo nadwyobraźni odbiorcy. Redaktor Niczyperowicz podołał, podobnie jak fotoreporter...

Swoje peregrynacje po uczelniach autor rozpoczął od znajomych i przyjaciół. Pierwszy był profesor Uniwersytetu Przyrodniczego, Michael Abdalla – Asyryjczyk, który zaproponował gubibate. Później poczta pantoflowa okazała się szybsza od redaktora i poszła fama, że na stulecie będzie hit. Nie wszyscy jednak ułatwiali. Nie wszyscy.

– Łatwo nie było – śmieje się redaktor – Mam w archiwum 21 maili do i od profesora Melosika. Byłem uparty i profesor Melosik był uparty. Ostatecznie się ugiął (prawdopodobnie pod wpływem żony prof. Agnieszki – przyp. red) i powstał świetny przepis na chili con carne. Było rodzinnie i smacznie.

Żona pomogła i w innym przypadku. Autor zwrócił się do prof. Bogdana Walczaka. Bez skutku. Miał jednak asa w rękawie. Była nim żona profesora. To ona odpowiedziała, że jej mąż gotuje tzw. „lekkie” czyli płucka. Potrawa była na tyle rzadko przyrządzana, że wypadła z jadłospisu. Okazała się wyśmienita (czemu zaświadczyło szacowne grono profesorskie), choć zdjęcie z pewnością nie oddaje jej smaku...

Długi czas (około pół roku) autor spędził na przekonywaniu prof. Bogumiły Kaniewskiej. Pomógł upór i obecność na 10-leciu WNPiD, gdzie w czasie krojenia tortu przez panią prorektor autor zamęczał ją swoimi prośbami. Tama pękła, a ostateczny efekt przeszedł oczekiwania. „Uśmiechnięte rogaliki mojego Taty” są jednym z najsmaczniejszych dań „Akademickich smaków”.

Bywało też jednak, że samo przygotowanie potraw trwało bardzo długo. Najdłużej nad norweskim bacalao na bazie suszonego dorsza pracował prof. Wojciech Nowiak. Efekt? Przepis w książce. Wystarczy tydzień, żeby się przekonać. Że warto.

Uspokajamy. Rektorzy dopisali. Najpierw na Uniwersytecie Medycznym poszło jak z płatka. Okazało się, że jest tam spore grono entuzjastów gotowania, które co jakiś czas spotyka się w jednej z poznańskich restauracji i bierze się do dzieła. Tak było i tym razem. Najpierw profesor Tykarski z profesorem Grześkowiakiem ustalili menu, a potem zaproponowali wyśmienite dania włoskie. Nie dość, że sami je przygotowali, to jeszcze przepracowali wieczór jako kelnerzy (są zdjęcia).

Podobnie było w przypadku profesora Celichowskiego z Akademii Wychowania Fizycznego. W dziekanacie AWF wszyscy byli zachwyceni jego chlebem, którym częstował pracowników. – Spróbowałem. Zachwyciłem się i też nie odepuszcę – mówi redaktor Niczyperowicz – Oplaciło się, bo prof. Celichowski odpowiedział mi, że rektor AWF przygotowuje świetne polędwice z batatami. I przygotował.

W menu znalazła się też wigilijna zupa rybno-grzybowa naszego rektora.

– „Na ryby... a można i na grzyby” – śpiewali w kabarecie Starci Panowie. W wigilijnej zupie w naszym domu ryby i grzyby też dogadują się koncertowo – pisze w książce profesor Andrzej Lesicki, dodając, że chętnie zdejmuje krawat i marynarkę, by zabrać się do przygotowania wigilijnej wieczerzy.

Chętnie gotują i inni. Prof. Zbigniew Blok przygotowuje befszyk średnio krwisty z polędwicy wołowej, prof. Andrzej Stelmach risotto w pomidorach, redaktor Ciesiołka roladę pyrlandzką, a prof. Radosław Fiedler pikantne klopsiki. Od prof. Witolda Mazurczaka warto nauczyć się przygotowania spiskiego kotlika, a od prof. Saksona, „krewetek na chorwacką nutę”... A jak komuś mało, to niech sięgnie po przepis na zmysłowiecką grochówkę prof. Przemysława Wojtaszka.

Trzech panów w łódce, nie licząc psa” to humorystyczna, XIX-wieczna powieść angielska. W zamyśle autora miała być poważnym przewodnikiem turystycznym po Tamizie. Stało się inaczej. Górę wzięło w niej poczucie humoru. I całe szczęście. Podobnie jest w przypadku redaktora Niczyperowicza i jego „Akademickich smaków”. To też przewodnik, ale lekki. Z książki na pewno nie wieje nudą, a sami autorzy przepisów i przytaczane ciekawostki sprawiają, że można się rozsmakować w przepisach. I autorach. Ja biorę się za przepis prof. Bloka. Będzie na ostro. Smaczno.

Krzysztof Smura



Krzysztof Borowczyk
– dr nauk politologicznych
UAM, medjoznawca

Od ponad czterdziestu lat próbuję potraw kuchni bamberskiej, czyli trwa to od momentu, jak wżeniłem się w rodzinę o bamberskich korzeniach. Kuchnia ta uchodzi za prostą i zdrową, gdyż oparta jest na produktach będących owocami pracy na roli. Czyli mówiąc współczesnym językiem – są to potrawy z segmentu „chłopskie jadlo”. W naszym domu serwuje się więc polewkę – zupełnie opartą na maślanie, a okrasą do dań jest zawsze olej lniany. Świąconka bamberska jest typową potrawą serwowaną podczas śniadania wielkanocnego w rodzinach Bambrów poznańskich przynajmniej od stu lat. Nazwa potrawy związana jest z faktem, że do przygotowania tej potrawy używa się produktów poświęconych w Wielką Sobotę. Świąconka jest potrawą smaczną, choć wysokokaloryczną i wymaga dodatkowego zaserwowania przedniego napitku o wytrawnej nucie. W tej konfiguracji specjał wielkanocny staje się wyjątkowo strawny.

akademickie smaki

podróż przez tradycje kulinarne
Uniwersytetu Poznańskiego



Świąconka bamberska

WYKONANIE:

- Ugotowane jajka na twardo pokroić w średnią kostkę. Również w kostkę pokroić szynkę, mięso i białą kielbasę
- Wszystkie składniki należy delikatnie wymieszać, do smaku dodać przyprawy i skropić octem.
- Udekorować gałązką bukszpanu (gryczpanu).
- Bardzo ważne: Potrawę należy schłodzić przed podaniem około dwóch godzin.

SKŁADNIKI:

- 10 jajek
- 1/2 kg szynki wędzonej, gotowanej
- 1/3 kg pieczeni wieprzowej
- 1/2 kg kielbasy białej wielkopolskiej
- 4-5 łyżek octu spirytusowego lub winnego
- sól i pieprz do smaku



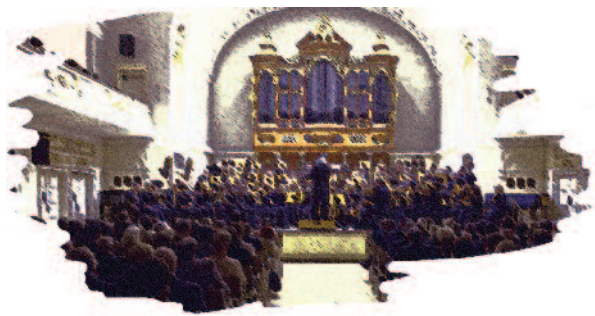
BAMBERSKA JEDZA

W 1719 r. do podpoznańskich wsi przybyli pierwsi osadnicy z Bambergu. Wszyscy spełniali warunek postawiony przez króla Augusta II Mocnego, tzn. byli katolikami, więc z polską większością szybko się zintegrowali. Co roku, w sierpniu, poznańscy potomkowie Bambrów obchodzą swoje święto na Starym Rynku. Podczas festynu Bamberki w tradycyjnych strojach serwują *pyry z gzikiem, polewkę, rumpuś, ślepe ryby z myrdyrdą, sznytki ze smoluszkiem i szneki z glancem*.

A na bamberskim przyjęciu weselnym podaje się zawsze gościom rosół z białym grochem oraz czerninę z gęsi z kluskami, a na drugie danie – pieczoną wieprzowinę z *pyrami* i warzywami.

● Czas przygotowania: 0,5 godziny ● Porcja: dla 4 osób

● Poziom trudności w skali akademickiej: 🐣 🐣 🐣



Łukasz Borowicz (1. II) – batutą i słowem, ale nade wszystko doskonale pomyślanym programem tym razem muzyki angielskiej – znów wprowadził melomanów w podziw. Najpierw 19-letni Brytyjczyk Sheku Kanneh-Mason, nadzwyczajnie uzdolniony wiolonczelista pięknym dźwiękiem i z wrażliwym towarzyszeniem filharmoników zagrał Koncert Edwarda Elgara (1857-1934), a po owacji dodał aranżację słynnego „Alleluja” Leonarda Cohena, w której ujmująco wsparło solistę troje koncertmistrzów FP. Po przerwie zabrzmiała (po raz pierwszy w Poznaniu) „Symfonia morską” Ralpa V. Williamsa (1872-1958) z tekstem Walta Withmana. Monumentalne dzieło z partią chóralną, dorównującą długością instrumentalnej i dwójgim solistów. Słuchaliśmy Wioletty Chodowicz (sopran) i Tomasza Raka (bas) oraz znakomitego Chóru Filharmonii Narodowej, kierowanego od niedawna przez poznaniaka Bartosza Michałowskiego.

Tydzień później (8. I) – po z górą 11 latach – pojawił się na estradzie auli UAM Piotr Anderszewski, jeden z największych polskich pianistów. Zbliżający się do 50-tki artysta wystąpił także w roli dyrygenta i z dwa lata starszą siostrą Dorotą – skrzypaczką. Pod własną dyрекcją zagrał z filharmonikami I Koncert L. van Beethovena, a potem zadyrygował Koncertem skrzypcowym Roberta Schumanna, dedykowanym J. Joachimowi. Genialny skrzypek nigdy go nie wykonał, a w testamencie zastrzegł, by nikt tego nie uczynił przed upływem 100 lat od jego śmierci. Na krótko przed upływem terminu złamał zapis G. Kulenkampff, a później próbowali spopularyzować utwór Menuhin i Szeryng. Czy uda się to D. Anderszewskiej? Co najmniej środkową, melancholijną część Koncertu zafrapowała słuchaczy. Wyklaskawszy bis, otrzymali od muzycznego rodzeństwa jeszcze dodatkowy bonus: Piotr siadł do fortepianu i zagrał przepiękny wstęp do tej części, nim odezwała się skrzypaczka z orkiestrą. Wyjątkowy wieczór uzupełniał b. ciekawy komentarz Magdaleny Łoś.

Żałoba narodowa w związku ze śmiercią Jana Olszewskiego sprawiła, że filharmonicy rozpoczęli (15. II) koncert elegijną Etiudą b-moll K. Szymanowskiego (w instr. M. Żółtowskiego), przyjętą przez słuchaczy minutą ciszy. Potem spotkaliśmy się z fenome-

nalną rosyjską pianistką, jedną z dwóch dotąd kobiet, które wygrały Konkurs Królowej Elżbiety w Brukseli. Anna Vinnitskaya – w znakomitej współpracy z orkiestrą FP i dyrygentem Markiem Pijarowskim – zachwyciła interpretacją III Koncertu S. Prokofiewa, a także bisem – miniaturą P. Czajkowskiego „Marzec” z cyklu „Pory roku”. Sporą owację zebrali też filharmonicy po VII Symfonii A. Dworzaka. Komentowała R. Świątczyńska.

Dwie odsłony miał (17. II) walentynkowy koncert „Amadeusa”. Orkiestra Kameralna PR pod dyr. Anny Duczmal-Mróż, najpierw wystąpiła z Ewelina Nowicką, utalentowaną polską skrzypaczką zamieszkałą w Hamburgu – w dwóch utworach Mieczysława Wajnbęrga: Concertino op. 42 i Rapsodii na tematy mołdawskie, przedzielonymi Suitą „Radif” na tematy irańskie Lwa Knippera. Po przerwie rozbrzmiewały przeboje Astora Piazzolli z mistrzowskim solistą Wiesławem Prządką, najwybitniejszym polskim bandoneonistą. Niespodzianką był udział w finale wieczoru pary tanecznej: Agaty Czarotowskiej i Michała Kaczmarka.

„Muzyką powracającą do życia” zatytułował swój esej w programie 475. Koncertu Poznańskiego (23. II) Łukasz Borowicz – także jego dyrygent i narrator. Usłyszeliśmy kolejne dzieło M. Wajnbęrga, polskiego Żyda urodzonego w Warszawie 100 lat temu, wychowanego w b. ZSRR (gdzie rodzina schroniła się przed zagładą), który nigdy nie wyrzekł się swych korzeni. Niestety, bogata i cenna twórczość kompozytora dopiero teraz wraca na europejskie estrady i sceny. Koncert skrzypcowy g-moll zagrał 42-letni Linus Roth, utytułowany wieloma prestiżowymi laureatami niemiecki artysta, założyciel w 2005 r. Międzynarodowego Towarzystwa Mieczysława Wajnbęrga.

Bodaj po raz pierwszy w Polsce pojawiło się też jedno z najoryginalniejszych dzieł Hectora Berlioz, wielkiego francuskiego twórcy XIX wieku. „Lelio, czyli powrót do życia”, symfonia – oratorium, a więc utwór z chórem, dwoma solistami i partią narratora, deklamującego b. osobisty tekst kompozytora. Przejmująco przekazał go Wojciech Pszoniak, perfekcyjnie zaśpiewali swe role tenor Andrzej Lampert i baryton Szymon Komasa oraz Poznański Chór Kameralny, przygotowany przez B. Michałowskiego. Razem z rozbudowaną (m.in. o fortepian) orkiestrą pod znakomitą batutą Ł. Borowicza, stworzyli niezapomniany teatr wyobraźni muzycznej.

W setną rocznicę rozejmu w Trewirze, TVP Poznań i Zakłady Kórnickie urządziły (24. II) koncert „Muzyka polska dla zwycięstwa” m.in. z udziałem Tria A. Jagodzińskiego i Orkiestry Collegium F pod dyr. M. Sompolińskiego. (rp)



ŻYCIE
UNIWEKSYTECKIE

UAM POZNAŃ
nr 4 (308) kwiecień 2019

CZEKAMY NA WASZE



Wydawca:
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Rektorat, 60-712 Poznań,
ul. Wieniawskiego 1

redakcja@amu.edu.pl
www.uniwersyteckie.pl

REDAKTOR NACZELNY: Krzysztof Smura, krzsmu@amu.edu.pl
SEKRETARZ REDAKCJI: Magda Ziółek, magdazio@amu.edu.pl,
REDAKCJA: Ewa Konarowska-Michalak, Jagoda Haloszka,
Maria Rybicka, Filip Czekala, Aleksandra Polewska,
Romuald Polczyński, Przemysław Stanula
FOTO: Adrian Wykrota, adrwyk@amu.edu.pl
KOREKTA: Maria Nowak



ADRES REDAKCJI:
ul. Święty Marcin 78 (2 piętro), 61-809 Poznań
BIURO REDAKCJI: Ewa Konarowska-Michalak,
Marta Tarczyńska
OPRACOWANIE GRAFICZNE: Zosia Komorowska
DRUK: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań



Rektorzy czterech uniwersytetów pokroili jubileuszowy tort

BAL NA STO PAR... A MOŻE I WIĘCEJ

W ramach obchodów setnej rocznicy utworzenia uniwersytetu poznańskiego, obok wydarzeń podniosłych, refleksyjnych czy naukowych, nie mogło zabraknąć zdarzenia bardziej rozrywkowego, odnoszącego się do wieloletniej tradycji zabaw w Auli Uniwersyteckiej.

Z tego powodu w ostatnią sobotę karnawału pięknie oświetlona, magiczna Aula Uniwersytecka UAM zamieniła się w salę balową. Rektorzy czterech uczelni obchodzących jubileusz: prof. Andrzej Lesicki z UAM, prof. Michał Musielak z UMP, prof. Dariusz Wieliński z AWF oraz prof. Jan Piłkuł z UPP powitali wielu znakomitych gości. Na bal przybyli m.in. byli rektorzy i prorektorzy poznańskich uczelni, przedstawiciele władz miasta i samorządu oraz instytucji kulturalnych. Nie zabrakło parlamentarzystów, przedsiębiorców, pracowników i wielu przyjaciół środowiska akademickiego.

Adrian Wykrota



Uczestnicy balu zatańczyli poloneza na sto par



Przybyli goście mogli spotkać się z prof. Heliodorem Świącickim i prof. Ludwiką Dobrzyńską-Rybicką, których duchy specjalnie z tej okazji odwiedziły mury uczelni

UCHWYCONE W KADRZE



FOT. ADRIAN WYKROTA

A na Wydziale Nauk Geograficznych i Geologicznych UAM odbył się XI Bal Karnawałowy pod hasłem „Nasze wielkie greckie wakacje”. Błękitny wystrój, pyszna grecka kuchnia i także muzyka zapewniły doskonałą zabawę

100 lat razem!

Jubileusz Uniwersytetu Poznańskiego

